

HUMOR  
SOWIECKI



EX LIBRIS  
Stefana Szareckiego

L. P. 101/29

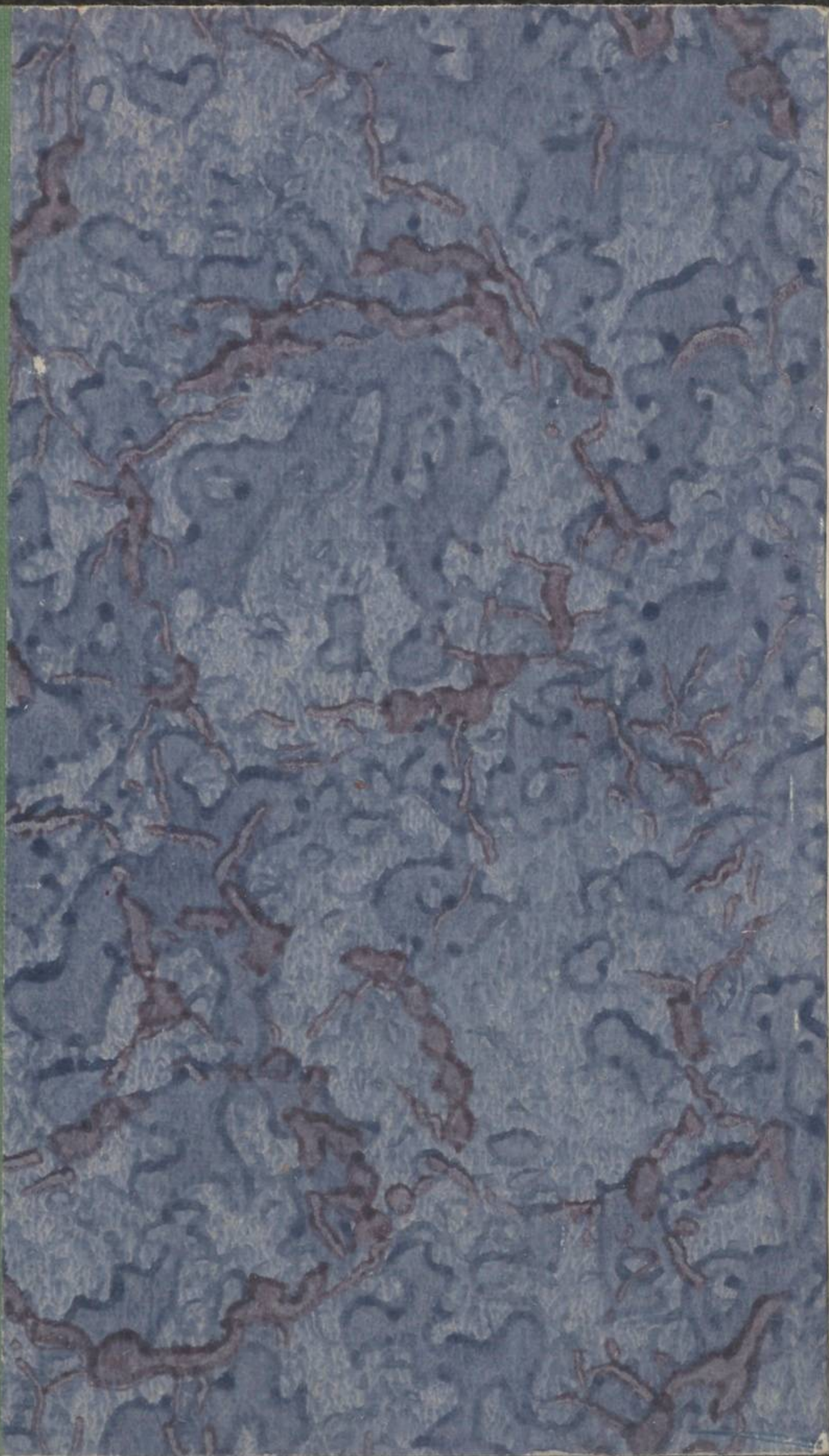
WARSZAWA/MCMXXVIII/KRAKÓW

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

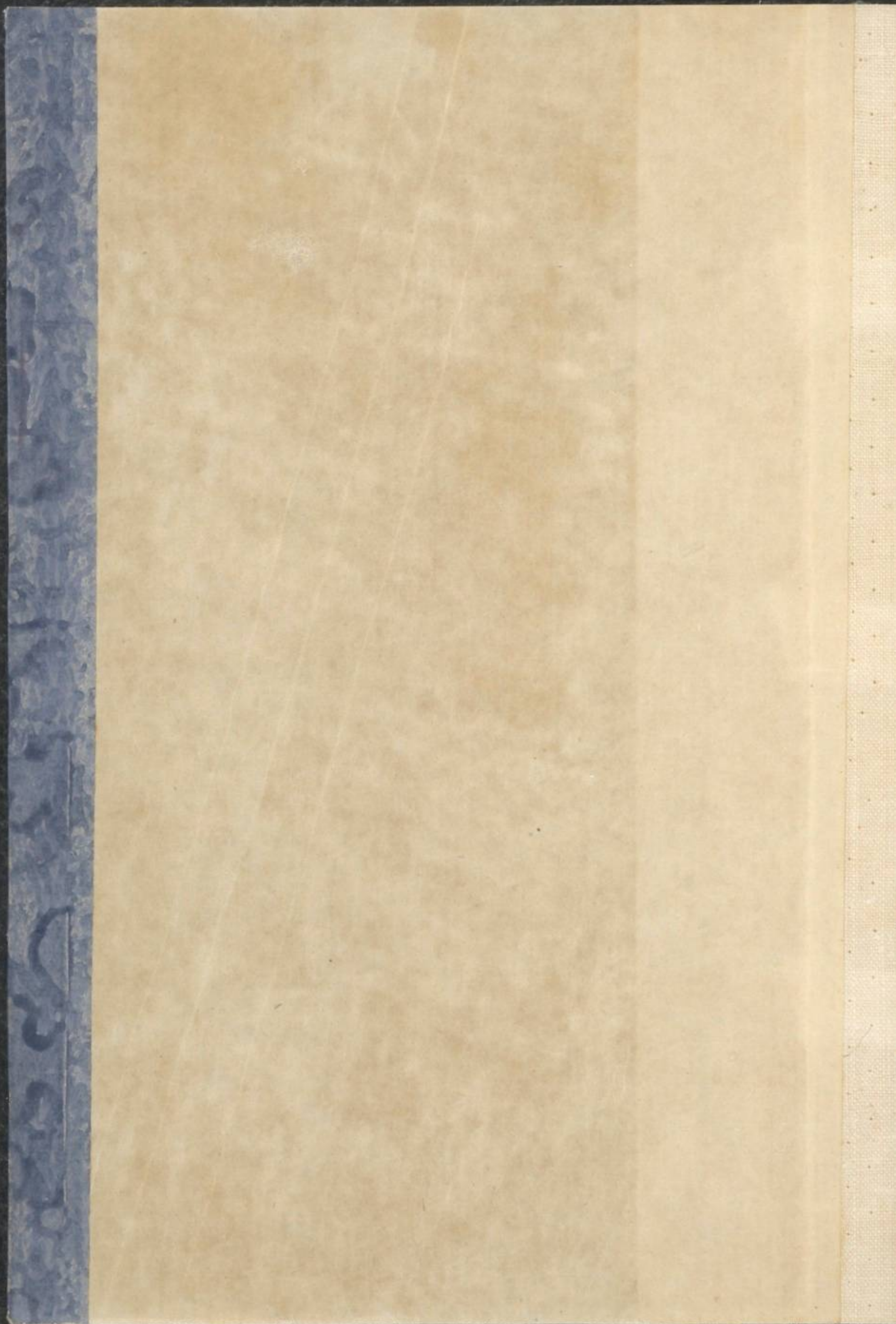
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE



824530



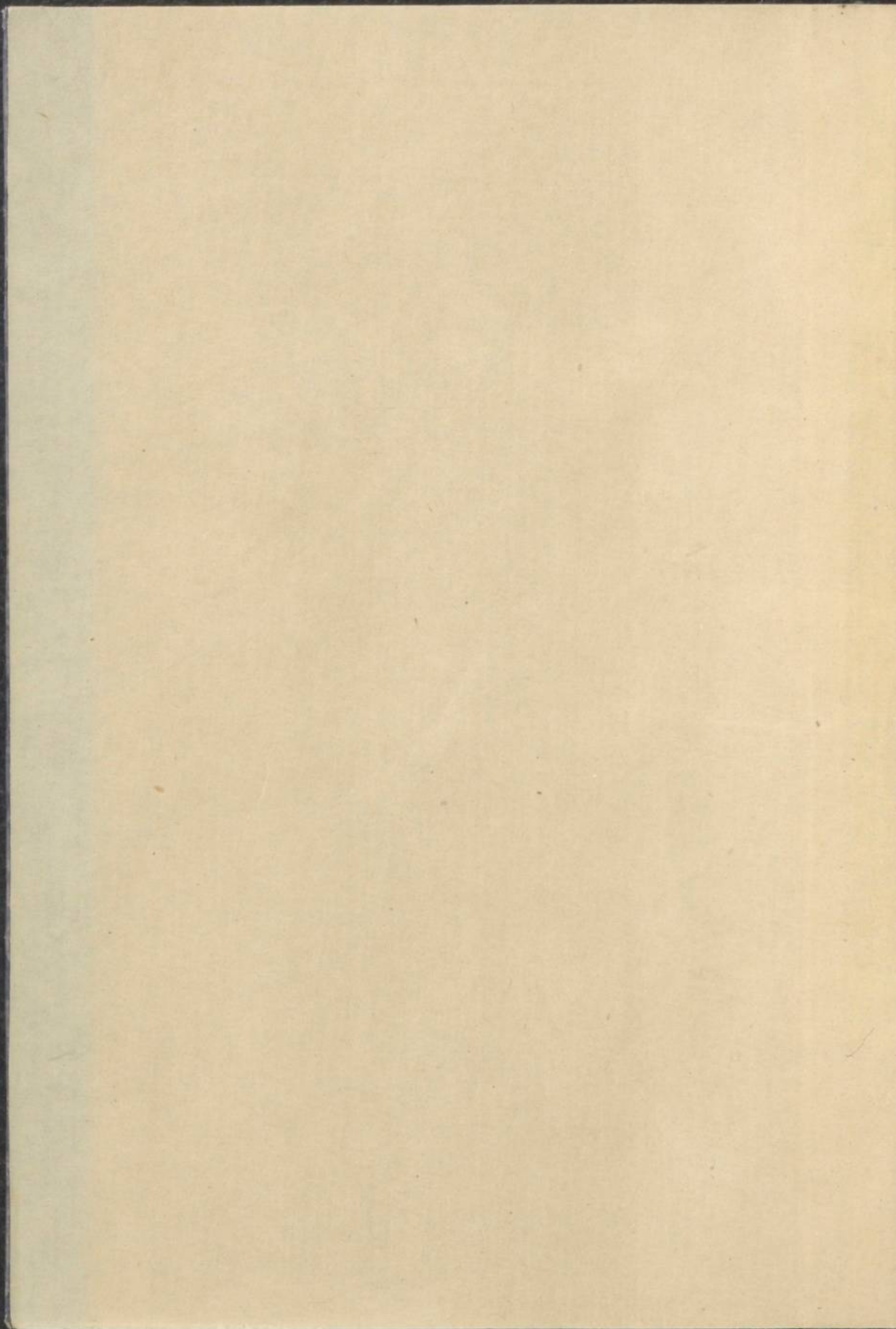






PROF. SOWIECKI







— 824.530

38

HUMOR SOWIECKI



BIBLIOTEKA HUMORU  
T-WA WYDAWNICZEGO

SERJA DRUGA



REDAKTOR JULJAN TUWIM  
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA  
ADMINISTRACJA: WARSZAWA MAZOWIECKA 12



*Przekład Edmunda Jezierskiego*



I 824.530



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017996448

DRUKARNIA NAUKOWA TOW. WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE  
RYNEK STAREGO MIASTA II.

1973 K 612/38



## WSTĘP.

W pożodze rewolucji, w krwawej przemocy terroru bolszewickiego zgasł i zamarł prawie zupełnie świetny humor rosyjski, mający w końcu dziewiętnastego i początkach dwudziestego wieku znakomitych, na miarę europejską przedstawicieli, jak: Czechow, Sałtykow-Szczedrin, Tichonow, Arkadiusz Awerczenko, A. Budiszczew, A. Izmajłow, Osip Dymow, Wł. Azow, Teffi, O. L. D'or i inni.

Przygnębieni nieszczęściami ojczyzny, na emigracji przycichli i zamilkli prawie zupełnie ci świetni humoryści i satyrycy, grupujący się niegdyś przeważnie przy wspaniałym tygodniku „Satirikon“, a miejsce ich w Rosji, pod ostrym nadzorem cenzury sowieckiej, zajęło nowe pokolenie humorystów, częściowo na ideologii bolszewickiej wychowanych, nie dorównywujące jednak poprzednikom swoim ani świetnością stylu, ani potęgą talentu.

Humor nowych twórców, to raczej satyra, zjadliwa nawet czasami satyra na przejawy bytu i organizacji Rosji sowieckiej, satyra jednak ostrożna,



chlaszcząca biczem swoim tylko to, na co wszechwładna a ostra wielce cenzura sowiecka pozwolić raczy.

Jedną tylko wspólną cechą z dawnymi mają nowi sowieccy humoryści — to samobiczowanie, samooplwanie, wydrwiwanie wszystkiego, a nietylko zła, panoszącego się w Rosji, beznadziejnego zła, na które niema, zda się, już ratunku...

Przeważnie humor ten przybiera formę feljetonu, czerpiącego materiały z wypadków dnia, rozgrywających się w Rosji, przejawów biurokracji lub życia gospodarczego, opartego na aktualności i stanowiącego przez to jakby dokument przeżyć wielomiljonowej masy obywateli Rosji sowieckiej...

Do takiej formy twórczości, pospiesznej i nieraz niedociągniętej, służącej nieraz nakazanej agitacji, zmuszają pisarzy nowej Rosji sowieckiej nader ciężkie warunki materialne, w jakich zmuszeni są żyć obecnie.

Twórczość też niektórych z nich jest jakby odzwierciedleniem, o ile, rozumie się, warunki cenzuralne pozwalają, nastrojów i cichych, nieśmiałych protestów nielicznej, pozostałej przy życiu garstki inteligencji, przeciwstawiającej się niwelującemu wszystko, usiłującemu wepchnąć całe życie w szare ramki doktryn materialistycznych, ustrojowi sowieckiemu, oraz panoszącej się, a stworzonej przez tenże, tępej i formalistycznej biurokracji.

Z pism satyrycznych, wydawanych obecnie w Rosji sowieckiej, zasługują na uwagę: „Smiechacz“,

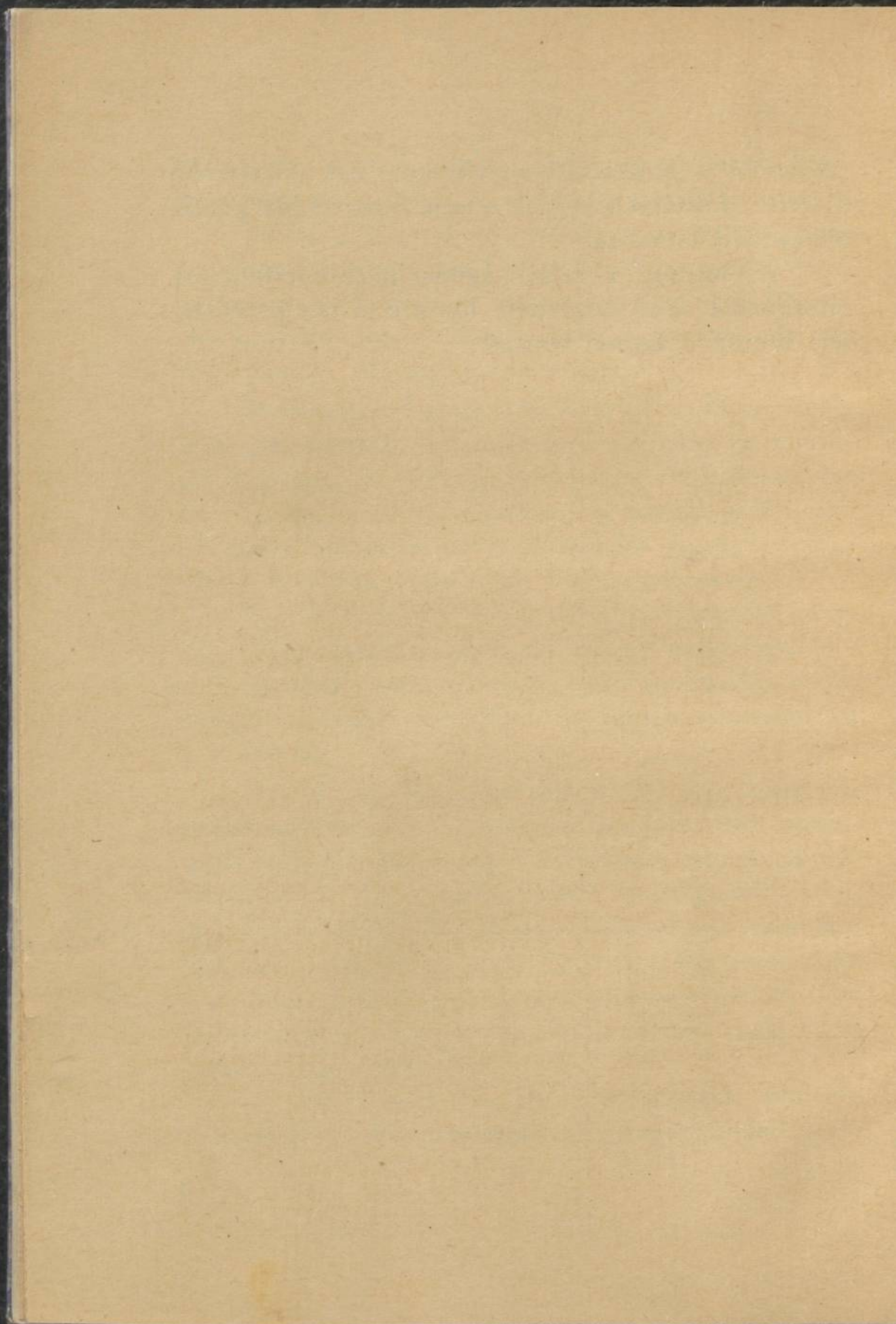


„Behemot“, „Krokodil“, na Ukrainie zaś „Czerwonej Pierec“, w których jednak strona ilustracyjna góruje nieraz nad literacką.

Wydawany w celach agitacyjnych antyreligijny „Bezbożnik“ pod względem literackim nie przedstawia literalnie żadnej wartości.

*E. J.*







W. ARDOW

## SAMOUCZEK DOBREGO TONU SOWIECKIEGO

*Podręcznik dla biurokratów.*

*Od autora.* Potrzeba dla biurokratów podręcznika dobrego tonu sowieckiego obecnie jest olbrzymia. I czyż potrzeba wspominać, że istniejące przedrewolucyjne wydawnictwa w żadnym razie nie zadawalniają wymagań? Są one już beznadziejnie przestarzałe i nie dadzą się w żaden sposób przerobić. Poniższy krótki podręcznik ma na celu zapełnić choć w części istniejące luki.

---

Urzędowanie, jak wiadomo, polega na postępowaniu: A) ze zwierzchnością, B) z podwładnymi, C) z interesantami i D) z papierami.

A. W postępowaniu ze zwierzchnością ważnym jest przestrzeganie następujących zasad.

Referując o wydanych przez siebie zarządzeniach, nie zapominajcie rozpocząć referat słowami:

— Jak wy powiedzieliście, tak ja i zrobiłem!...

Lub:

— Oto jak opracowuję wasze tezy — choć w rzeczywistości naczelnik po raz pierwszy słyszy o sprawie.



Dając papiery do podpisu (szczególnie, jeżeli papierów dużo), obowiązkowo należy westchnąć i wyrzec:

— Przewlekane to... Lecz nie myśmy zaczęli, nie my będziemy kończyć...

Jeżeli zaś nie zrozumieliście lub nie dosłyszeliście myśli, wypowiedzianej przez naczelnika, najlepiej poprosić go o powtórzenie w takiej formie:

— Wy już darujcie, człowiek prosty jestem, coś mi jest niezrozumiałe, co wy mi tłumaczycie...

Potem, gdy wam niechcący lub przez nieostrożność zdarzyło się wypowiedzieć zdanie, przeciwne życzeniom naczelnika, zgadzajcie się na nie jak można najprędzej, wykrzyknąwszy:

— Tak, dobrze!... Zaagitowaliście wy mnie, zaagitowaliście!...

Gdy zastaniecie naczelnika sam na sam z maszynistką lub sekretarką, należy natychmiastowo i skromnie oddalić się.

Jeżeli chcecie naczelnikowi okazać niewielką przysługę — podać mu palto lub oczyścić trzewiki — najlepiej jest wypowiedzieć pragnienie to tak:

— Pozwólcie to już mnie. Namiętnie lubię od czasu do czasu zajmować się zagadnieniami pracy.

Ubiór przy stosunkach ze zwierzchnością powinien być skromny. Najlepiej — bluza à la Tolstoj lub french — ostatni bardzo pomaga do przejścia do wspomnień z wojny domowej, i przez to samo zmiękcza serce naczelników. Znaczków polecamy przypiąć jak można najwięcej. Teczki należy wybrać jaknajgorszą i zawczasu wyjąć z niej gazety z ostatnich dwóch miesięcy: napchane i solidne teczki stanowią prerogatywy samego naczelnika, jego odpowiedzialności i przeciążenia pracą.



B. Czego innego wymaga się przy stosunkach z podwładnymi.

Przyjmując referat podwładnego, należy zawczasu, zanim on usta otworzy, zdążyć powiedzieć:

— No, no, coście tam zrobili z tego, co ja mówiłem?

Podpisując papiery, nie zapominajcie pouczająco zauważyć:

— Przewlekane — to wszystko?... Należało by jakoś skrócić!...

Gdy myśl podwładnego wam się podoba, oświadczyć:

— Tak, ja już myślałem o tem. Można będzie spróbować.

Gdy zastaniecie podwładnego z sekretarką lub maszynistką, najlepiej zawezwać podwładnego do siebie i dać mu nauczkę, a potem zawezwać sekretarkę (maszynistkę) i dać jej nauczkę lub zrobić scenę zazdrości — według uznania.

Prosić podwładnego o przysługę należy tak:

— Proszę was na podstawie koleżeńskiej bezceremonjalności: pójďte i przynieście mi moją maszynę...

Co zaś do ubrania przy stosunkach z podwładnymi najbardziej właściwym jest skromny garnitur marynarkowy, ciemna koszula i takiż krawat. Ze znaczków najlepiej wybrać jeden — znaczek Dietkomisji: podobny jest do odznaki członków CIK'a (centralnego komitetu wykonawczego) i dlatego najbardziej solidny. Teczkę jaknajnowszą i należy napchać w nią gazety za ostatnie dwa miesiące.

C. Interessantom należy do ostatniej możebności mówić:

— To nie do mnie. Zwróćcie się tam i tam, to jest: do sąsiedniej instytucji, do biura informacyj-



nego, do sekretarza, do oddziału inwentaryzacji, do buchaltera, komendanta, pomocnika, zastępcy, referenta, woźnej i t. d. I tylko, jeżeli już nigdzie więcej interesanta skierować nie można, powiedzcie mu:

— Poczekajcie. Teraz jestem zajęty.

Poczem zabierzcie się do linjowania jakiegokolwiek ankiety (jakakolwiek ankietą znajdzie się zawsze u każdego urzędującego człowieka). Polinjuwawszy tak z pół godziny, możecie trochę porozmawiać z interesantem.

Przy rozpatrywaniu zaś istoty sprawy, którą ma u was interesant, należy stać zawsze na tym punkcie widzenia, że tego, o co on prosi, wykonać nie można. Niech interesant dowodzi, że możebne, a wy z czystym sumieniem wyszukujcie przeciwne dowody. Jeżeli nawet w takich warunkach interesant potrafi dowieść, że jego prośba możebna jest do wykonania, zaproponujcie mu, ażeby zaszedł „kiedykolwiek w tych dniach“. A kiedy przyjdzie, zaczynajcie całą śpiewkę od początku. Tu właściwie powiedzieć należy, że idealny, najlepszy ton nie zna wykonania prośby interesanta i, wogóle, dobry ton nie pozwala na to wcześniej, jak dopiero przy piętnastej wizycie interesanta.

Z najbardziej przekonywujących dowodów niemożebności wykonania, czego żądają, przytoczymy następujący: decydująco oświadczacie, że nic na świecie nie jest wam wiadome, i zobowiązujecie interesanta, ażeby na wszystko dostarczył wam zaświadczenia, informacje, wyciągi. Odbywa się to, na przykład, tak:

*Interesant:* Polećcie zdjąć pieczęcie, towarzyszu!... Nie mogę przecież codziennie tu przychodzić... mam w biurze sprawy...

*Wy:* Ja o tem nic nie wiem...



*Interesant:* Ach, Boże!... Jakżeż wy nic nie wiecie!... Wszakżeż ja urzęduję! Zdejmcie pieczęcie, tam mamy masło, zapieczętowane, zepsuje się, zupełnie się zepsuje!...

*Wy:* Nic o tem nie wiem...

*Interesant:* Jakżeż nie wiecie, niemożliwe, lato teraz, latem wszędzie masło się psuje... Lato przecież...

*Wy:* Nic o tem nie wiem. Przedstawcie dokument.

Że zaś otrzymanie mnóstwa zaświadczeń o tem, że masło-maślane, jeżeli nie jest zupełnie niemożliwe, to połączone jest z wielką utratą energji — niekiedy możecie się od wykonania prośby interesanta uwolnić.

D. Co zaś dotyczy się papierów to postępowanie z nimi urzędników do 12 stopnia sieci taryfowej (włącznie) winno być akuratne. Obywatele tych kategorii mogą robić uwagi na papierach tylko w kierunku zasadniczego tekstu papieru.

Urzędnicy kategorii 12—13 mogą już pisać w poprzek tekstu i więcej lub mniej niewyraźnie.

Osoby zaś 16 i 17 kategorii mają prawo robić zupełnie niezrozumiałe uwagi w każdym kierunku, a szczególnie odpowiedzialni pracownicy, opłacani według 17 kategorii lub specstawki (kategoria specjalistów), mają prawo gubienia papierów.

„Ogoniok”.



G. RYKLIN

## BRAT NARKOMA

Wczesnym — wczesnym rankiem, tak o godzinie jedenastej, kiedy zawów i zamzawów (kierowników i zastępców kierowników), niema jeszcze w biurze, kiedy maszynistki przed rozpoczęciem dnia pracy zaczynają pilnie i ze skupieniem pudrować nosy, do solidnej instytucji wszedł solidny młody człowiek.

Młody człowiek grzecznie zakasłał, poprawił krawat i zbliżył się do tego miejsca w kancelarji, gdzie pod portretem Marxa, w głębokim, skórą obitym fotelu sterczał french, z frencha — na jeża ostrzyżona głowa sekretarza.

Młody człowiek zakasłał jeszcze raz, jeszcze raz poprawił krawat, uśmiechnął się i poprosił sekretarza o zameldowanie zawu o jego przybyciu.

Ręka sekretarza leniwie zanurzyła się w kieszeni frencha i wyciągnęła stamtąd drewnianą papierośnicę.

Druga ręka otworzyła papierośnicę, wyjęła papieros, stuknęła ustnikiem trzy razy w stół. Papieros — w ustach sekretarza. Sekretarz pociera zapalstkę, ta się łamie i gniewnie zostaje wyrzuconą pod stół, do kosza. Sekretarz pociera drugą zapalstkę — zielony ognik. Sekretarz z obrzydzeniem wykrzywia się, zatykając nos dłonią. Zielony ognik bez szczególnego pośpiechu zamienia się w biały płomień. Sekretarz zapala i wypuszcza dym kółkami do góry, tam, gdzie na białym kartonie wypisany jest kaligraficznie rondem napis: „Odp. sekretarz“.

Interesant znów zakasłał. Sekretarz nic nie słyszy. Sekretarz, rozumie się, jest zajęty. Sekretarz,



rozumie się, niema czasu na zajmowanie się wszystkimi interesantami.

Interesant z pobłażliwym uśmiechem na ustach począł objaśniać sekretarza, że on — nie jest zwykłym interesantem urzędowym, że przysłany jest z Moskwy na odpowiedzialne stanowisko do tego właśnie urzędu. Interesant skromnie dodaje, że on — wogóle nie jest urzędnikiem, a bratem takiego to narkoma (komisarza ludowego). Przytem wymienił nazwisko.

Oszołomiony nazwiskiem narkoma sekretarz zerwał się z miejsca — ani żywy, ani martwy. Z przerażenia przysunął bratu narkoma aż dwa krzesła.

Sekretarz momentalnie zapomniał o swem odpowiedzialnem stanowisku, całej swej randze i urzędzie. Czując całą mizerję swej dwunastej kategorii wobec tak ważnej osoby, sekretarz sapał, denerwował się, bezładnie opowiadał bratu narkoma o trudnościach pracy na zapadłej prowincji, pokazywał nieskończony jeszcze przez niego groźny okólnik z pięciocyfrowym numerem, który wszystkim urzędnikom instytucji nakazywał przychodzić do biura punktualnie o dziesiątej.

Po kilku minutach sekretarz umieścił figurę w gabinecie zawa, starannie zamknął lufcik, ażeby nie wiało, i począł zaznajamiać ze sprawami.

W czasie tym instytucja przeżywała straszliwe, okrutne minuty. Lęk ogarnął wszystkich — brat narkoma!... Pobiegli po zawa. Maszynistki stukały, jak karabiny maszynowe; woźni, jak motocykle, biegali po pokojach; pombuch (pomocnik buchaltera) z dziwnym szaleństwem stukał na liczydłach. Interesantów nie przyjmowano — nikt nie miał głowy.

Wreszcie przyszedł zaw. Zaznajomił się z gościem, który szczegółowo podał cel swego przyjazdu,



i na zakończenie dodał, że w pociągu zgubił portfel ze wszystkimi dokumentami i pieniędzmi. Zaw z całej mocy nacisnął guzik dzwonka. Ukazał się sekretarz.

— Wydać polecenie zaliczenia delegowanego przez centr towarzysza na takie to stanowisko. Zajmijcie się tem, ażeby przygotowano najlepszy numer w hotelu, kaźcie zaprządź konie, zaprowadźcie towarzysza na obiad, dajcie zaliczkę, zaopatrzcie w dokumenty.

Wszystko to natychmiast wykonano. Kogoś z powodów nadzwyczajnych zwolniono, gościa ze stolicy mianowano.

Panienci z innych urzędów przybiegały popatrzyć na gościa ze stolicy, brata narkoma. Zazdrościły.

— Dobrze u was pracować. A u nas tak nudno: same wchodzące i wychodzące.

Nowa władza wkrótce spodobała się wszystkim współpracownikom; wyszukana grzeczność, pełne galanterji postępowanie, zdumiewająca prostota w stosunkach. Wszyscy wiedzieli o nieszczęściu, które spotkało w drodze brata narkoma, i wszyscy na wyprzódki proponowali mu pożyczkę pieniędzy. Niektórzy wzięli nawet specjalnie w tym celu zaliczki.

Po pewnym czasie nowy pracownik zapoznał się w zupełności ze swoją pracą i zwrócił się do zawa z następującą propozycją:

— Widzicie... Trzeba się więcej zbliżyć do mas... Należy wiedzieć, co się dzieje w nizinach... Myślę objechać gubernję...

Zaw natychmiast rozkazał:

— Przygotować bilety, wypisać kwit na zaliczkę, dać konie...



Brat narkoma wyjechał w delegacji służbowej...  
Minał tydzień, mija drugi — ani słyhu, ani  
duchu...

Mija trzeci, za nim czwarty...

Posyłają depeszę do Moskwy. Otrzymują od-  
powiedź: nikt z centrum nie był delegowany do po-  
wierzanej wyżej wspomnianemu zawowi instytucji.  
A narkom taki to od urodzenia nie miał żadnych  
braci, od dziecka już rósł taki samotny...

Myślicie, że wszystko to napisane według  
Gogola?...

Nie! Z materiałów homelskiego R. K. I. (re-  
wolucyjny komitet wykonawczy).

---

G. RYKLIN

## CZŁOWIEK BEZ IMIENIA.

— Ciszej!... Człowiek się urodził!...

Po co go straszyć?... W jakim stopniu zacho-  
wanie ogólnej ciszy związane jest z pojawieniem się  
nowonarodzonego?...

Dlaczego ciszej?... Skąd wy wiecie, kto to jest  
taki, ten nowy pretendent na uwagę i „przestrzeń  
mieszkalną?”

Być może, narodził się fininspektor (inspektor  
skarbowy)? Być może, członek WAPP?... Lub wo-  
góle jakikolwiek genjusz?...

Przykładów szukać daleko niepotrzeba...

W dalekiej Syberji, pod murami miasta Bijska,  
w Ucz-Pristani, przed niedawnym czasem urodził  
się cudowny chłopiec.

Jak wiadomo, radość szczęśliwego ojca nie da  
się opisać. My też jej nie opisujemy.





Lecz na zmianę radości, jak wąż wpełzł smutek do domu ojca, robotnika odlewni, tow. Mierinowa.

Nie dlatego, żeby sprawa dotyczyła się alimentów. W odróżnieniu od wielu innych, Mierinow nie dostał się „do obozu ginących za wielką sprawą miłości“.

Zupełnie inna historia.

Teściowa Siklida, ciotka Eufrozyna, babka Sakerdonja, kuma Mitrodora, djak Piramidont ze swoją kuzynką Pulcherją wszczęli taki krzyk i gwałt, zupełnie jakby każde z nich rodziło bliźnięta. (Oto masz „ciszej, człowiek się urodził!“).

— Ażeby tego samego przeklętego słowa nawet i nie słyszeć...

— Też jakieś pojęcie — październikowce!...

— Cóż on — turek lub amerykańnik tam jakiś?...

— Jakżeż od dzieciństwa i nieochrzczony?...

— Dziadowie nasi nie październikowali się, i my nie będziemy...

Ojciec nowonarodzonego chwycił się za głowę i biegał po pokoju. Matka współczuła i mężowi i teściowej z ciotkami.

Po kilku utarczkach na tym froncie wewnętrznym, Mierinow odniósł zwycięstwo, łagodnie wyrzuciwszy za drzwi Siklidę, Eufrozinę, Mitrodorę i wszystkich z niemi.

Przyjaciel Mierinowa, robotnik tejże fabryki, Mitiaj, podjął się zorganizowania październikowca.

Przedewszystkiem pobiegł Mitiaj do fabkoma (komitet fabryczny).

Upłynął tydzień, po nim — drugi. Chłopiec uśmiechać się zaczął. Rzeźki taki, — cały w ojca...

Wbiega raz pewnego Mitiaj do Mierinowa. Buty mu się zdarły, sam wychudł. Błady, jak arty-



kuł wstępny „Rula“. Zmęczony, jakby dopiero co wyszedł z czerezwyczajki:

— Wybacz mi, towarzyszu... Nie mogę więcej... Sił już mi braknie... Dzieci bez chleba zostaną... Chodź sam...

Pożegnał się Mierinow z żoną i synem, wziął kromkę chleba i przygotował się do podróży...

Przyszedł do fabkomu. Tak, więc, towarzysze, nie chcę syna chrzczyć, chcę październikować... Potrzebna jest wasza...

Predfabkom (przewodniczący komitetu fabrycznego) nie pozwolił Mierinowowi dokończyć i schwytał go gwałtownie w ramiona.

— Winszuję, winszuję! Precz z trucizną religijną, opium dla narodu!... Wasza świadomość, towarzyszu, mówi o tem, że klasa robotnicza w dziewiątym roku rewolucji październikowej zrzuciła z siebie... Jednym słowem, zajdźcie do izby — czytelnicy, tam wam wszystko urządzają...

Poszedł Mierinow do izby — czytelnicy... A w domu chłopiec rósł i już reagował na zapaloną zapalniczkę. Mądry chłopak!

Zarządzający izbą — czytelniami, wysłuchawszy Mierinowa, przez pięć minut nie mógł ani słowa wyrzec z zachwyty. Potem odzyskał dar mowy i hojnie nagroził nim Mierinowa.

— Towarzyszu!... Rośnie moc nasza z dniem każdym i rośnie świadomość robotników i wzmacnia się związek ich z włościanami. Wasz przykład godzien jest naśladowania, tym bardziej, że imperialiści nie składają broni i w dalszym ciągu prowokują chińskich robotników i włościan, gdyż kto są, pytam się was, generał Ga-Zo-lin lub Ubiej-Tfu, jak nie najmici i ugodowcy, lecz przyjdzie godzina...



Ach, tak, wy co do październikowca... Zajdźcie, towarzyszu, do jaczejki...

Powlókł się Mierinow do jaczejki... A w domu chłopiec rósł, rozwijał się, odpowiadałby już na wołanie, lecz imienia jeszcze niema, a po nazwisku taką pluskwę niewygodnie jakoś wołać.

W jaczejce Mierinowa nawet podrzucać chcieli. Bardzo gorąco go przywitali, ktoś mowę powiedział i kazano mu znowu iść do miestkomu (komitet miejscowy).

Upłynął tydzień. Tak, po co żałować tych tygodni, co tam, wszak nie kupione! Upłynęły trzy, cztery tygodnie.

Powrócił Mierinow do domu, rzucił czapkę na ławkę, stanął przed kołyską i rzekł do syna:

— Więcej nie mogę... Wyrośniesz, sam się staraj!...

Dziecina zaczerwieniła się i rozplakała na podobną perspektywę.

Urodził się ten człowiek w październiku 1925 r. zima była sroga. Teraz — marzec: słońce mimo wszystko, a jednak po wiosennemu usiłuje świecić, śnieg taje. A październikowca i wspomnienia niema.

Leży ten obywatel bez imienia i mocno ściska piąstki. Grozi on tak biurokratom, przewłóczącym sprawy, gadaczom bez treści.

\* \* \*

*Uwaga.* Komuniści, w walce swej z religją, wymyślili zamiast obrzędu chrztu św., ceremonję cywilną, którą, dla uczczenia rewolucji październikowej, nazwali oktiabriny (październikowce).



PANTELEJMON ROMANOW

## NIEŚMIAŁY CHŁOPIEC

Przy sklepie z oknami rozbitemi i zabitemi deskami, panował ścisk.

Oczekujący na ulicy ludzie, w sukiennych, własnego wyrobu trzewikach, z płóciennymi workami na plecach, dreptali z zimna na miejscu i za każdym razem zwracali głowy w stronę drzwi wejściowych, gdy ktokolwiek wychodził stamtąd z zawiniątkiem. Niektórzy uchylali drzwi i zaglądali do sklepu. Lecz stojący przy drzwiach osobnik w fartuchu naciskał natychmiast drzwiami wsuwającą się głowę i wypierał ją z powrotem.

— Co, wydali? — dopytywano się wychodzących ze sklepu.

— Nie wiem, matuszka, nic nie rozumiem — rzekła staruszka lat około siedemdziesięciu i zaczęła rozwijać papier.

— A czego ci było potrzeba?...

— Koszulę dla starego i czapkę, a oni, widzisz, pieluchy na coś mi dali i haczyki...

— Z pieluchami to się troszkę spóźnili — rzekł jakiś robotnik: ile masz lat?...

— Od samego świtu stałam...

— I ludzie są niezadowoleni — rzekł znów robotnik: czegoż ty jeszcze chcesz, co nie potrzeba, to i dają, i wciąż ci mało... Przytem jeszcze z pierwszych rąk dostajesz.

— Tak, byle tylko językiem trzepać...

— A ile wszystkiego było — zauważyła starsza kobieta: ubrań gotowych, futer wszelakich, dla całego świata by wystarczyło.

— A tu w pierwszym roku wszystko przehan-



dlowali, tak że prócz haczyków i pieluszek nic więcej niema.

— A gdzie się to wszystko podziało — przemówiła druga staruszka, z przyczepioną do palta kartką na towar.

— Gdzie, wiadomo gdzie... Żeby to ludzie uczciwi byli...

— Kontrolera by postawili, kiedy tacy złodzieje...

— A ktoby pilnował kontrolera?...

— Żeby to ludzie uczciwi byli, rozdzielili by wszystko po bożemu, starczyło by na dziesięć lat — siedź sobie na piecu i jedz pierogi...

— Drew dużo wyjdzie — rzekł robotnik: nie napalisz...

— Jakie to sumienie jednak mieć trzeba, ażeby kraść w takich czasach...

— Teraz tylko kraść — rzekł jakiś młodzieniec.

— Ot, oni wszyscy tacy.

— Nie, na mnie Bóg łaskaw — rzekła staruszka: syneczka mam, to, można powiedzieć, nic do ręki jego się nie przykleiło...

— Tacy to rzadkość...

— Choć ciężko żyć, lecz cóż robić, za to sumienie czyste...

— A ot mamy obok sąsiadów — rzekła tęga kobieta: mąż w składzie służy, to poprostu do wierzchu kufry naładowali...

— Dobrze żyją?...

— Dobrze. Wszystko mają: i mąkę białą, i cukier...

— Tak... ma się rozumieć, jeżeli trafił na dobre miejsce, to i grabi...

— Teraz inaczej nawet nie można — rzekła tęga kobieta: jak ty nie weźmiesz, to inni ukradną...



— Prawda, prawda — odezwało się kilka głosów: dlatego i kradniesz, że wokoło są złodzieje, uczciwego człowieka z latarnią nie znajdziesz...

— Nie, ot mój, dzięki Bogu — rzekła staruszka.

— Wchodzić! pięć osób! — zawołał osobnik, otwierając drzwi: gdzie leziesz, powiedziano pięć.

— Ja tak z brzezka tylko, bo mi nogi bardzo zmarzły...

— W domu rozgrzejesz.

— Patrzcie, komenderuje. Dobrze mu w cieple. A ty po najmniejsze głupstwo stój na mrozie.

— Dostał się na dobre miejsce i więcej mu już nie potrzeba...

— Widzisz, i wojłokowe buty ma, i kozuch...

— Ot, żeby się tak na takie miejsce dostać — westchnął młodzieniec.

— To też zależy jaki człowiek — zauważyła staruszka: ot, mój synek służy w urzędzie... wymówić tylko jakoś nie mogę. To tam na składzie i odzież wszelaka, i lekarstwa...

— A pocóż ty tu stoisz?...

— A już on jest bardzo sumienny... Wokoło niego, można powiedzieć, stopy różnego dobra i inni, nie bój się, ale obydwoma rękami ciągną, a on wciąż się krępuje...

— Komunista, czy co?...

— Nie, Bóg łaskaw, a taki nieśmiały bardzo...

— Tylko miejsce napróżno zajmuje — rzekł, spluwając, młodzieniec.

— Ot, i matka tu stoi na mrozie...

— A tam, patrz, pieluszki jej wydadzą — rzekł robotnik.

— Ja też i sama tak, wszak nie mówię, ażeby zuchwale, a tak, żeby choć to, co konieczne. Od tego skarb nie zubożeje...



— Wiadoma rzecz, jeżeli jeden człowiek weźmie, czy to tam dużo ubędzie... Inna rzecz, znów, jeżeli już bez miary ciągnąć zacząć — rzekła tęga kobieta: mam siostrzeńca w aptece, to zawsze jakiegokolwiek tam proszki przyniesie... Choć wszystkie te rzeczy są niezbyt odpowiednie, niekiedy to przywlecze jakąś butelkę, że nawet do czego użyć — dalibóg, nie wiesz...

— Teraz się wszystko przyda. — To-to-to, kto śmielszy a bardziej gospodarny, to o domu pamięta — rzekła staruszka: a matce lżej...

— Jakżeż można — miejsce, trzeba przyznać, parszywe, apteka — jednym słowem, a my same proszki za dwa pudy chleba wymieniliśmy.

— Mądry człowiek i na złym miejscu dobry obrót zrobi — rzekł były handlarz.

Staruszka westchnęła, potem, po chwili milczenia, rzekła:

— Tak. Niekiedy leżysz sobie w nocy i myślisz: Królowo Niebieska, Matko nasza, za coś ty ukarała i na stare lata mordować się każesz. Inni Boga proszą, ażeby na takie miejsce się dostać, a tu i miejsce akurat takie, i wciąż nic niema. Inny w biurze przy kartkach się kręci, i to, widzicie tylko jedno wie: jak mąkę do domu staszczyć...

— Są też tacy. Głowy pracują zdrowo — rzekł były handlarz: dlatego, że od maleńkości do interesów przyuczone. Niejeden ledwie z pieluch wyszedł, a już patrzy, jakby skombinować interes, lub też gdziebądź rękę zapuścić...

— Wszak to teraz tylko by żyć, smutków nie znać, a ja od samego rana w ogonku sterczę po palto dla niego...

— Palto, to dobrze.

— Cóż po palcie, kiedy pod paltem nic zupełnie niema.



— Lżej będzie — rzekł robotnik, wycierając nos na stronie.

— Dosyc' żartów. Wybieraj lepiej na wacie i na zimę będzie dobre i wiosną nosić można. Bo inaczej — złakomisz się na futro, a na jesień niema co włożyć.

— Sama tak myślę.

— A cóż on tam nie mógł jakoś?...

— Jak to nie mógł... Ale pójść zbrakło odwagi.

— Coście dostali? — zawołano przy nich, gdy ze sklepu wyszła nowa partja.

— Co nie potrzeba, tośmy dostali — rzekł z niezadowoleniem wysoki mężczyzna: na dyspozycji wypisane palto futrzane, a tu dostajesz żakiet włóczkowy i haczyki na dodatek...

-- Ot, temi haczykami, przekłęci, dokuczają. Wsuwają wszystkim, masz i wynoś się...

— Wchodzić, jeszcze pięć osób...

Staruszka, spostrzegłszy, że na nią kolej, pospieszyła się i przeżegnawszy się, z przestraszoną twarzą, znikła za drzwiami.

— Na wacie wybieraj! — zawołała za nią kobieta.

— Dlaczego to oni temi haczykami tak do reszty dławia, trzeci raz już je dostaję...

— Kto ich wie. Zdaje się, że zamieniają niemi coś innego.

— Jak przygotowują coś do wydawania, to już pędzą z tem bez przerwy, dopóki wszystko nie wyjdzie.

— Ach, gołąbko gorzka. I jakie to haczyki! na miłość Chrystusa, zardzewiałe, żelazne...

— Skąd takie wykopali... I dla takiego skarbu stój pięć godzin. Gdzie się te wszystkie dobre rzeczy podziały?



— A ot, moi sąsiedzi nie będą stać po pięć godzin — rzekła tęga kobieta: w tych dniach przyniósł kawałek sukna, a w nim dwadzieścia pięć arszynów...

— Wszak są takie miejsca, trafiają ludzie...

— Tak, mają szczęście...

— Mądry człowiek zawsze ma szczęście—rzekł były handlarz: a ot taki dureń, jak tej staruszki, co po palto poszła, to takiego gdzie nie postawisz, sensu i pożytku z niego nie będzie...

— Staruszka idzie. Dzięki Bogu, nie zatrzymują. Na wacie wzięłaś?...

— Na wacie... Powłoczki dali i haczyki wzamian... Ot ukarał Pan Bóg dzieckiem. U wszystkich ludzi, są jak ludzie, a ten potwór jakiś przekłety. Oj, przyjdę, wsunę mu w pysk te haczyki... Przebacz Panie, grzechy moje...

## ŚWIĘTA JAŁMUŻNA

Długi korowód sani podskakiwał na wybojach. Jechały do miasta, na targ. Na jadących na przodzie saniach siedziała baba, zawinięta w wielką puchową chustkę. Była w nią tak opatulona, że siedziała, jak kukła, i nie mogła nawet obejrzeć się, gdy wołano na nią z jadących w tyle sani.

— Hej, ciotka, ciotka, zatrzymaj się na chwilę—wołała z tyłu druga, jadąca z chłopcem, który klęcząc w saniach, szarpał lejce i popędzał batem szkapinę, kręcącą się na wszystkie strony, i obawiającą się wejść w głęboki śnieg, ażeby wyminąć przednie sanie.



Baba w chustce puchowej, nie oglądając, zatrzymała się. Tylne sanie poczęły ją mijać.

— O — o, matko moja, Stiepanowna, to ty, znaczy się? — spytała baba z tylnych sani, która prócz wielkiej chusty miała czoło zawiązane przed wiatrem białą chusteczką, złożoną parokrotnie.

— Ja matuszka...

— Fied'ka, jedź, a ja do Stiepanowny się prześiądę, — rzekła baba z tylnych sani. Porwała z sani jakiś węzełek, dopędziła biegiem sanie i wwaliwszy się na nie, podgięła pod siebie kożuszek i usiadła na piętach...

— Wieziesz na sprzedaż? — spytała ta, co przysiadła się, macając ręką leżący w saniach woreczek.

— Nie, dziedziczce wiozę kawałeczek razowca w gościńcu...

— Co, tak źle żyje?

— Oj — oj, nie daj Boże, jak źle. Pani delikatna, jak ździebelko słomy; przedtem roboty żadnej nie znała, a teraz w piecu sama pali, garnki sama dźwiga. Przyjechałam do niej na Zwiastowanie, jak spojrzałam na nią, serdeczną, tak łzy w oczach stanęły. Chcę jej powiedzieć — słowa wymówić nie mogę...

— A wy co, gromiliście, czy co, swoją.

— Gromiliśmy — matuszko. Do szczętu, można powiedzieć, ją roznieśli. Jakie tam dobro połamali, jakie zabrali. Ja tę chustkę zdołałam tylko porwać. Tylko tyle wszystkiego dobra jej, gołąbki, mam u siebie. A i to wzięłam, ażeby się złym ludziom nie dostało. No, jeszcze przedtem, gdy sama dawała...

— Nie odmawiała?...

— Oh, jaka była, królowa nasza — przychodź i proś, co chcesz. Niczego nie odmawiała — rzekła



baba w chustce puchowej i nawet zwróciła się w stronę towarzyszki.

— Ot, i ja również wiozę swojej. Także rabowali. Lecz my, trzeba przyznać, mimo to skorzystaliśmy dobrze.

— Nogi młodsze. A gdzie ja tam na moich?— rzekła baba w puchowej chustce.

— Tak, chociaż rwałam, nie patrząc, co w ręce wpadło, a mimo to dobre rzeczy mi się dostały. Ot pod sukmaną mam jej lisie futro. Też dobry człowiek. W innych miejscowościach — zwierzęta, nie podejdziesz. A tu, nieraz przyjdiesz, a ona zaraz: „Napij się herbatki, Iwanowna”. Wciąż herbatą mnie poiła. Zaczęłam się teraz wybierać do miasta i tak serce moje za nią zatęskniło, za paniusią moją, że mocy brak...

— I nie mów nawet, sama z początku przez trzy noce oczu nie zamknęłam...

— Tak... zatęskniło serce, wezmę, myślę, podarunek dla niej. A ona, jak zobaczyła ten węzełek, aż zapłakała. A ja też. Potem długo, długo, patrzała na nas ze starym, i mówi — zupełnie jakby sama do siebie: „Coście wy, mówi, w końcu, za ludzie?” A sama ręką za głowę się trzyma.

— A wasi, sonińscy — mówię: matuszka, cóż, nie poznałaś?... — i nawet przestraszyłam się: myślę, czy czasem nie zwarjowała.

Sanie wjechały w miasto. Poczęły mijać płoty, zabite deskami sklepy, latarnie, zakątki.

— Gołąbko, potrzyмай lejce — rzekła baba w chustce puchowej. Spiesznie rozwiązała chustkę i wsunęła ją pod siedzenie. Porwała potem węzełek i kłusem pobiegła przez furtkę.

W dziesięć minut potem wróciła. Oczy miała zapłakane.



— No, co? — spytała baba w bielutkiej chusteczce, oddając jej lejce i z niepokojem patrząc na nią.

— Poprostu sił brak patrzeć na takie życie — odpowiedziała wracająca, płacząc i wycierając nos w rożek chustki, którą była obwiązana: drwa sama rąbie. Pytam na dworze, gdzie jest pani, Aleksiejewna. A to ona sama jest. Niepознаłam: marną, podartą chuścina okryta, w chłopskich buciarach... Jakim też zobaczyła ją, zaraz się rozplakałam.

A kiedy odjechały na pewną odległość od domu, wyciągnęła z pod siedzenia chustkę i otuliła się w nią.

— Poszliśmy potem do niej, do komórki, dzieciakom, jak zobaczyły razowiec, zaraz ślepki rozgorzały. I rzuciły się do mnie, zupełnie jakby druga matka przyszła. Ukrajała im po kawałku, a sama usiadła naprzeciwko mnie, oparła na ramieniu mojem i rozplakała się...

— Widzisz? — mówi.

— Widzę — mówię, śliczności ty moje biedne, moja złocista. No, ot do czego... Panie...

Opowiadająca zamilkła, łykając łzy i odwróciwszy się. — Jaki grzech, jaki grzech... I skąd taka kara, Panie...

— Bóg ją wie.

— A cóż to, dom jej również rozgrabili?...

— Wszystko, na czysto — odpowiedziała baba w puchowej chustce, nachylając się i z płaczu wycierając nos przez drabki sanek.

— Gołąbko, zatrzymaj się koło tego bielutkiego domku — rzekła towarzyszka podróży, i zaczęła spieszenie ściągać z siebie kaftan, a potem futro lisie. Pozostała w podartym kozuszkę i, schwytawszy węzełek, również pobiegła do furtki.



Baba w chustce puchowej pozostała, oczekując na nią, i przyglądała się lisiemu futru. Po pięciu minutach ta wróciła, obcierając rękawem resztę łez.

— No, jak tam?...

Baba w białej chusteczce w milczeniu tylko machnęła ręką.

— I ona płacze, i ja płaczę! No, poprostu, jakby siostrę zobaczyła. Tylko powiedziałam jej: Mateczko!... Cierpiętnico moja...—A tu łzami oczy zaszyły i słowa wymówić nie mogę...

— O Panie, Ojczy, Mikoło miłosierny—rzekła, wzdychając głęboko, baba w chustce puchowej: i skąd taka kara?...

Obie zamyśliły się i długo milczały...

---

M. ZOSZCZENKO.

### SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO.

Wczoraj siedzę na ławeczce, w ogrodzie Tawryczeskim. Skręcę papierosa. Rozglądam się na wszystkie strony. A wokoło wiosna. Słoneczko świeci. Dzieciaczki na piaseczku się zabawiają. Tuż obok, na ławeczce, siedzi taki chłopaczek lat około dziesięciu. I nóżką kiwa.

Popatrzałem na niego.

Ech, myślę, o ile, bądź co bądź, dzieci daleko lepsze życie mają, niż dorośli. Cóż ja, dorosły?... Ani nogą nie pokiwał, ani w piaseczku się nie tarzaj. Ech, myślę, niesympatycznie jakoś człowiekowi dorosłemu. Komisje wszelakie, podkomisje. Sprawozdania i zebrania... Na trzy minuty, być może, wyrwiesz się, ażeby odetchnąć świeżym powietrzem, a żona, być może, czeka już, ścierką trzę-



sie, wymyśla, na czym świat stoi, dlaczegoś się właśnie spóźnił. Eh, myślę, szczęśliwy czas, złote dzieciństwo! I jakieś ty tak niespostrzeżenie minęło i precz poszło...

Popatrzałem jeszcze raz na dzieciątka i na chłopaczka, który nogą kiwał, i taka, poprostu powiedziawszy, czułość do niego mnie ogarnęła, takie uczucie — że dech zapało.

— Chłopaczku, mówię, suczy ty syn! Nie czujesz, mówię, podlec, napewno, całej pełni twego szczęścia?... Siedzisz, mówię, nogą kręcisz, ty i smutku żadnego nie masz. Kichać ci na wszystko z wysokiego drzewa. Eh ty, mówię, drogi ty mój, podlec jakis!... Jak, mówię, nazywać ciebie?...

Milczy. Nieśmiały taki, czy co?...

— A ty, mówię, nie lękaj się, milutki. Nie zje ciebie z chlebem stary staruszek. Chodź, mówię, siadaj mi na kolana, konno...

A chłopaczek odwrócił się do mnie i odpowiada:

— Nie mam czasu, mówi, trząść się na twoich kolanach! Idjota jakis!...

Ot masz, myślę, malinka!... Odciał chłopaczek. Niema czasu!...

— Dlaczego, mówię, wy nie macie czasu?... Jakie, przepraszam za porównanie, sprawy są u was?...

A chłopaczek, dziecię natury, odpowiada baskiem:

— Wiele będziesz wiedzieć, prędko się zestarzejesz!...

Ot, myślę, jaki chłopaczek mi się zdarzył.

— A ty, mówię, nie gniewaj się. Chętka wzięła, mówię, parszywego staruszka dowiedzieć się, jakie to sprawy zdarzają się w waszym młodym wieku...



A chłopaczek ułagodził się potem.

— Tak, spraw, mówi, jest do djabła! Komisje wszelakie, podkomisje. Sprawozdania i zebrania. Teraz co do Polski sprawozdanie składać będą. Biedz trzeba. I szkoła, ma się rozumieć... Fizykultura mimo wszystko... Na trzy minuty, może, wyrwiesz się odetchnąć świeżem powietrzem, a Mańka Błochina lub Katusza Siemiaczkina, patrz, a wymyślają ci. Eh — ma!...

Chłopaczek wyjął „Puszkę”, zapalił, splunął przez zęby, skinął głową i poszedł sobie...

A ja w głębi duszy myślałem:

— Szczęśliwa pora, złota moja starość! I do szkoły, między innemi, chodzić nie potrzeba. I z fizykulturą bądź — co — bądź nie dokuczają.

Potem zapaliłem „Puszkę” i również poszedłem.

## ZAWIADOMIENIE DO MILICJI.

Stojąc, rozumie się, na platformie. zawiadamiam, że mieszkanie pokój 10, jest podejrzane w sensie samogonu, który gotuje Gusiewa i drze oprócz tego z ludu pracującego po trzy skóry. A kiedy, na przykład, niema pieniędzy lub wogóle brakuje choć by jednej kopiejki, to na kredyt nikomu nie zawierza, i jeszcze, nie zważając, że jesteś wolny obywatel, wali cię w kark.

A jeszcze zawiadamiam, jako że jestem uczciwy obywatel, że mieszkanie pokój 3 również, bez wątpienia, podejrzane jest co do samogonu, do którego wkładają dla smaku opieńkę, albo, być może, skórki pomarańczowe, od czego rzygasz po nad normę. A na kredyt, ma się rozumieć, też nie mają zaufania. Choć płacz!...



A najszkodliwsza obywatelka zmusza spożywcę do czekania w kuchni i do lokalu nie wpuszcza. A w kuchni jej pieseczek, systemu pudel, rzuca się na spożywcę i szarpie za nogi. Ta pudel i mnie schwytała. A kiedy ja zamachnąłem się naczyniem, ażeby tą pudel uderzyć, to gospodyni naczynie to wyrwała mi z rąk i krzyczy:

— Na — mówi — bałwanie, z powrotem pieniędzy. Nie będzie dla ciebie towaru, jeżeli bezsłowne zwierzę męczysz.

A ja, jeżeli już do tego doszło, tej pudel nie męczyłem, a wymachiwałem naczyniem.

— Co wy — mówię — obywatelko! Ja, mówię, nie ruszałem waszej pudel, Cofnijcie swoje słowa z powrotem. Ja mówię: niedopuszczalne, ażeby pudel szarpał nogi.

A obywatelka wyrzuciła mi pieniądze z powrotem, jakie upadły przy kominie. Pieniądze leżą przy kominie, a jej pudel napaskudził na nie i nie dopuszcza. Choć płacz.

Wtedy ja, rzeczywiście, nie zaprzeczam, pchnąłem zwierzę nogą i schwytałem pieniądze, wśród których jeden rubel zapaskudzony i wstręt wziąć do ręki, a z drugiego odgryziony numer i gosbank nie przyjmuje. Choć płacz.

Wtedy ja powtórnie, nie zaprzeczam, kopnąłem pudel w pierś i jaknajprędzej wyszedłem.

A teraz ta szkodliwa obywatelka mnie do mieszkania swego nie wpuszcza i drzwi cały czas trzyma na łańcuszku. I jeszcze pluje przez otwór, jeżeli ja, na przykład, podchodzę. A kiedy ja na plucia jej zamachnąłem się, ażeby także po mordzie ją przejechać, to ona drzwi zatrzasnęła i rękę mi przycięła po łokieć.

Ja wrzeszczę w niebogłosy i wiję się przed



drzwiami, a jej pudel szczeka, aż się zanosi, z wewnątrz. Nawet do łez obraźliwe. O czym mam zaświadczenie lekarskie i, oprócz tego, krew i teraz płynie, jeżeli, na przykład, codziennie zdzierać strupki.

I jeszcze, oprócz podejrzanych mieszkań, zawiadamiam, że traktjernia „Wesoła Dolina”, również, bez wątpienia, jest podejrzana. Tam mnie uderzyli po mordzie i zapędzili do kąta.

— Płać — mówią, sobacze ryło, za rozbitą kwaterkę...

A ja ich kwaterki nie tłukłem i, wogóle bardzo mi to jest potrzebne tłuc ich tam kwaterki.

— Ja mówię, nie tłukłem kwaterki. Pozwólcie, mówię, dokończyć butterbrod, obywatele.

A oni mnie ciągną i ciągną i do butterbrodu nie dopuszczają. Dociągnęli do drzwi i wyrzucili. A butterbrod leży na stole. Choć płacz.

A jeszcze, jako uczciwy obywatel, zawiadamiam, że dziewczica Warka Pietrowa jest podejrzana i puszczająca się. A kiedy ja do Warki podszedłem, to ona do mnie obrzydzenie czuje.

Które też wyżej wskazane osoby możecie aresztować lub jak chcecie.

Teraz zaś jeszcze zawiadamiam, że zawiadomienie przezemnie sprawdzone, jako ja jestem na platformie i przeciwko precz z pijaństwem, chociaż i zwolniony z powodu redukcji za prawdę.

---

P. NIKULIN

## ORGANIZATOR

— Upraszczaście życie, nauczcie się wprowadzić je na właściwe tory. Należy umieć organizować życie, mój drogi. Weźcie przykład ze mnie. Staliśmy na rogu dwóch mało ruchliwych ulic.



Z dziurawej rynny trzy różnorodne strumienie spływały i jeden z nich oblewał czapkę i kołnierz Borysa Grygorjewicza. Odsunął się cokolwiek i wpadł nogą w dziurę w chodniku, napełnioną wodą. Wtedy stanął na dawnym miejscu w ten sposób, żeby woda z rynny trafiała mu tylko na daszek czapki.

Było przyjemnie słuchać różowego, pewnego siebie moczarza.

— Tak, trzeba umieć organizować życie. Na przykład wy, gdzie i jak mieszkanie?... Zaczniemy od mieszkania. Pokój, kubatura, ogólna kuchnia i t. d., dzwonki. Korespondencja z towarzystwem mieszkaniowym. Czas już osiąść na ziemi, mój drogi.

Zwycięzko spojrzął na mnie z pod czapki i w porę odwrócił się przed strumieniem wody. Zachowane od ubiegłej jesieni chmury gorliwie polewały deszczem pierwsze majowe pączki bulwarów.

— Czas osiąść na ziemi...

— Nie rozumiem — rzekłem.

— Bardzo proste. Zostańcie właścicielem domu, organizujcie życie, niech diabli wezmą. Cóż prostszego?... Pokój, dzwonki, rygor wspólnego mieszkania. Komu to potrzebne?... Przesady. Trochę energii, trochę czasu i — jesteście właścicielem domu. Organizujecie życie. Posiadacie willę. Macie ogród, warzywa sezonowe, owoce!...

— Słuchajcie — rzekłem spieszenie: to ciekawe. Pójdziemy do mnie. Pomówimy.

Spojrzał na zegarek, pomyślał i poszedł.

— Rozpatrzmy to pytanie z bliska — ciągnął dalej: absolutnie jasnym jest, że życie upraszcza się i wchodzi na normalne tory. Mieszkanie kolektywne, stadowe przemieszkwanie ludzi, ściśniętych, stłoczonych na ciasnej przestrzeni, jest już przesta-



rzale. Miasto winno być zachowane wyłącznie, jako centrum życia interesów. Kilka godzin pracy, koniec dnia, i po dwudziestuczterech minutach jesteśmy za miastem, na łonie przyrody, u siebie. Przyjacielsko wita was ryczeniem wasza krówka, podwórzowy Szaryk spotyka was, wymachując ogonem. Wasze dzieci rzeźkie i opalone...

— Dzieci niemam — poprawiłem krótko.

— To niema znaczenia. W rzeczywistości porównać tą waszą kamienną skrzynię, porównać murowane klatki pokoi z domkiem w stylu angielskiej lub szwajcarskiej willi. Ogród, klomby, grządki, gdzie w razie życzenia możecie hodować nawet artystzoki i łatwo przejść na wegetarjanizm... I czego do tego potrzeba?... Pomyślcie, wniknijcie...

Weszliśmy do bramy. Na specjalnej desce wisiał kolejny tom pełnego zbioru utworów uprawdoma (zarządzającego domem). Na liście wzywanych do kantoru przeczytałem swoje nazwisko.

— Dobrze—przerwałem: cóż do tego potrzeba?...

Byliśmy u mnie. Borys Grygorjewicz otrząsnął krople deszczowe na dywan i obejrzawszy się, ciągnął dalej:

— Trzeba organizować życie. Trochę energii, trochę pieniędzy, a najgłówniejsze bezpośredni udział w tej ważnej sprawie. Mogę polecić was do kooperatywy „Błękitny pokój”. Przedtem sam należałem do tej kooperatywy. Teraz zaś dałem pierwszeństwo kooperatywie „Czerwone habry”. Kiedy was zapiszą, wpłacacie im... i wymienił solidną sumę...

...a po roku, dwóch, lub wcześniej, razu pewnego, w cudowny, jasny poranek, przeprowadzacie się do siebie. Do swego domu. Czy wy to rozumiecie?... Do siebie. Przyjacielsko ryczy krówka. Ogród i Szaryk... Opalone dzieci...



— Tak — przerwałem: lecz ta suma. Skąd ją wziąć?... No, przypuśćmy, powieść da w najgorszym razie rubli...

— Dziwak! — wykrzyknął Borys Grygorjewicz: suma?...

Obrzucił spojrzeniem pokój.

— Dywany?... Po co wam dywany... Po pierwsze, niehygienicznie, po drugie, ciężko. W willi niepotrzebne są dywany. W willi nie bywają dywany. Sprzedajcie!... Mówicie z Persji?... Sami przywieźliście?... Głupstwo, przesąd... Potem, dalej, książki. Po co książki?... Na książki są biblioteki. Sprzedać! Głośnik radiowy?... Też zbytek. Obejdziecie się prostą słuchawką. Sprzedać! Maszyna do pisania?... A na co istnieją biura przepisywania, na co maszynistki? Sprzedać!... Pamiętam, że macie futro? Należy przyzwyczajać się do zimna. Należy zahartowywać organizm. Sprzedajcie! I oto to i sio, ze wszystkiego po nitce i jest cała suma. Oto macie i pierwszą wpłatę. A po jakimś roku — dwóch posiadacie swą własną willę, prześliczny dom zamiejski, krówka, ogród, Szaryk... Należy organizować życie. Dobrze?...

— Nie wiem — rzekłem nieśmiało: pomyślę... Zdaje się minął rok. Ściślej, półtora roku.

Tramwaj z hukiem pędził przez aleję, która prowadziła do hippodromu. Przecisnąłem się na przód i poczułem na ramieniu rękę. Siwiuteńki, zgarbiony staruszek przyjaźnie uśmiechał się, głaszcząc mnie po ramieniu.

— Drogi mój — rzeźko rzekł staruszek — kto miał słusność. Należy organizować życie.

— Czyżby... — nieśmiało zacząłem.

— To ja sam. Borys Grygorjewicz. No, Tomaszu Niewierny, pamiętacie? Pozwólcie przedsta-



wić się, B. G. Bezsonow, właściciel domu. Bez wymówek — proszę do mnie. Stanowczo proszę, i to zaraz, w tej chwili. Wy gdzie? Konduktor, dać mu jeszcze na dwie stacje...

Siedzieliśmy obok siebie i on mówił, stopniowo ożywiając się:

— Mieszkam za miastem. Prześliczne miejsce. Lecz sami zobaczcie. I, co jest drogie — wszystko sam, wszystko własnymi rękoma.

— „Czerwone habry”?

— Nic podobnego. Z „Czerwonemi habrami” nie udało się. Zresztą, tanio się wykręciłem — połowę wkładu mi zwrócili. Po „Habrach” była „Przytulna pszczołka”, potem „Kooperatywa budowlana gławbuchów”, potem kooperatywa „Radość roztrwaniającego”, potem, na ostatku „Wieczność”. Nie ta „Wieczność”, która jest biurem pogrzebowem, a inna, Lecz za to żyję. Przestrzeń, cisza — zobaczcie...

Jechaliśmy długo. Potem szliśmy. Potem znów jechaliśmy tramwajem, i autobusem, i pociągiem podmiejskim. W końcu jechaliśmy garbatą liniijką i, pamiętam, późnym wieczorem szliśmy długo pieszo.

Była noc i wilgoć jesienna. Borys Grygorjewicz szedł na przedzie.

— Dziwne — rzekł: była furka i niema furki. Był parkan i niema parkanu. A rano był. Ukradli parkan, djabli...

Malutki, milczący piesek podbiegł do niego i z poważną miną ugryzłszy w łydkę, zniknął w ciemnościach.

— Szaryk — łagodnie oznajmił gospodarz.

W pobliżu żałośliwym, rozpaczliwym rykiem rozdzierało się jakieś niewiadome zwierzę.

— Krowa — krótko objaśnił gospodarz: ostrożnie, tu schody nie tego.



I długo hałasował zamkami, kluczami i zasuwami. Potem weszliśmy.

Zanim zapalił światło, mimo wszystko rzekł:

— Wy nie bardzo tego. Rzecz w tem, widzicie, że to czasowe. To tymczasem. Za rok — dwa będzie dom murowany, tu, na ścianie — plany, zobaczycie...

Żółty płomyk lampki naftowej oświetlał ściany z desek, krzywy sufit, zupełnie pusty pokój, kształtem przypominający źle zbitą z desek trumnę.

— Co do mebli to tego... Za to przyroda. Wkłady, wiecie, wiele trzeba było sprzedać. Lecz ja urządzę się. Bądźcie pewni.

Wziął potem lampę i podniósł ją do wielkiego, zbutwiałego z wilgoci arkusza na ścianie.

— Pozwólcie — plan, „posiadłość Borysa Grygorjewicza Bezsonowa”. Widzicie — dwa piętra, cegła, dach żelazny. Wieżyczka, tarasy. Komin. Budynki gospodarcze, składy, garaż na motocykl. Buda dla Szaryka. Zdrowo opracowane. Literalnie do detali. Poczekajcie, za rok, dwa...

Żółty płomyk lampki skakał... Wiało z rozbitych okien i szczelin. Cicho wył Szaryk. Rozpaczliwie ryczało zwierzę za ścianą.

— Żeby choć zdechła — naraz rozpaczliwie jęknął Borys Grygorjewicz — a to rujnuję na weterynarzy.

— A dzieci? — spytałem nieśmiało.

— U ciotki, na prowincji — głucho rzekł gospodarz: malarja. Za rok, dwa osuszę...

Milczeliśmy.

— Kładźmy się spać — rzekł: A jutro do miasta. Wstaniemy o świcie. W najlepszym razie — trzy i pół godziny drogi. Kładźmy się spać. Należy organizować życie. Upraszczaście życie, niech was wszyscy diabli wezmą...



Położyliśmy się wprost na podłodze. Wył Szaryk. Żałośliwie ryczała krowa. Przez szczeliny świstał wiatr, i była jesień i noc...

---

AL. SWIETŁOW

## KROWI ROMANS

Wszystko to bardzo podobne jest do anegdoty. Lecz o wypadku tym opowiedział mi towarzysz, który dopiero co powrócił z sesji wyjazdowej, z podróży po okolicznych naszych wioskach.

Sprawa, oznaczona numerem 109, znajduje się w sądzie ludowym wsi Bielajewki. Według akt pozwany w sprawie jest byk—reproduktor, nazwany „Apollonem” i należący do włościanina Iwana Niepomniaszczego.

A powódką krowa wiejska, simmenthaler, „Lubka”, której interesy, wobec „przedwczesnej jej śmierci”, podtrzymuje „była jej gospodyni”, bielajewska biedaczka, Irina Sieriebriakowa.

Proces ten powstał w następujących okolicznościach:

W zeszłym roku, w upalny dzień czerwcowy, na pastwisku, za rolami wsi, w dolinie, która kończy się między rzeką a starym kurhanem tatarskim — pięknym zielonym jeziorem—spotkali się „Apollon” i „Lubka”.

„Apollon” mocarz i piękniś, słynął w wiejskiej „czeredzie”, jako zdobywca uczciwych serc krowich. „Lubka” była młoda i urodziwa.

A wokoło upajająco pachniały trawy. Waśka—pastuch zdrzemnął się na słoneczku pod burką, tylko pomocnik Antipka — kurnosy i kudłaty owczarek



„Woron” — trzymali straż. I „Lubka” oddała się pięknemu „Apollonowi” bez słów, bez warunków...

Potem... potem było wszystko, jak u ludzi bywa. Antipka — kurnosy wygadał się o „rozpuszczenie” „Lubki” pastuchowi Waśce... Waśka z obowiązku swego urzędu zawiadomił o tem babkę Irinę Sierebriakową. Potem dowiedziała się o tem co zaszło cała wieś. I nawet krowy dowiedziały się o tem i poczęły z ukosa spoglądać na „Lubkę” i o czemś tam porykiwać

A „Lubka” pełniła i zaokrągląła się. Napęniała się siłą i dumą krowią. „Apollon” kręcił się koło niej, podnosząc ciężkie swe oczy na każdego, kto zbliżał się do niej, i z byle powodu — ostrzył swe krótkie rogi. Wieczorem, kiedy czereda ciągnęła do wsi, „Apollon” powoli i z powagą kroczył obok swej przyjaciółki.

Odprowadzał ją do wąskiej furtki, przepuszczał naprzód i czochrał się potem lubieżnie i nerwowo o płot i odchodził dopiero wtedy, kiedy z obory rozległo się pełne zadowolenia mruczenie „Lubki” i znajomy głos Iriny Stiepanowny.

Tak w miłości i szczęściu upłynęło dziewięć miesięcy. W dziewiątym miesiącu, w mroźny i mglisty ranek, „Lubka” powiła pięknego syna — wykapany portret czystej krwi ojca jego „Apollona”. Lecz „poród” „Lubki” był ciężki bardzo i niepomysłny. Weterynarza na wsi odszukać się nie udało. „Lubka” tylko przez jeden dzień cieszyła się synem i w nocy, wytrzeszczając dobre, łagodne i pełne męki oczy na wykrzywioną bólem twarz Iriny Stiepanowny — splonęła, ogarnięta gwałtowną gorączką.

Irina Stiepanowna, biedaczka i samotna wdowa, pozostała bez krowy. Gorzej — na opiece jej pozostał nieszczęsny sierota, który potrzebował macie-



rzyńskich krowich starań, ciepła i pokarmu. A w chacie Iriny Stiepanowny było nienapalone, a w spiżarce pusto, jak bywa pusto w lutym u ostatniego biedaka. Cielątko poczęło chudnąć i mizernieć.

Trzeba było powziąć stanowcze środki, i środki te zostały powzięte po widzeniu, jakie odbyło się między Iriną Stiepanowną a miejscowym pokątnym „abłakatem”.

„Abłakat” poradził zwrócić się do sądu, wnieść sprawę o „bycze alimenty”, i zaraz nasmarował do sądu „prośbę”, w której wzruszająco opisywał „gorzki los nieboszczki „Lubki” i, wyjaśniając swe powództwo, dowodził, że „zginęła bez prawnych powodów, wskutek młodości swej i nieświadomości”...

I domagał się w powództwie, ażeby „krowi syn”, nazwany „Apollończykiem”, został wzięty na utrzymanie przez ojca swego „Apollona”, że zaś sam „Apollon” „żadnych praw obywatelskich nie jest pozbawiony”, to „ściągnąć” z właściciela jego, Iwana Niepomniaszczego, wartość „Lubki”, jak również i nakazać łożyć na utrzymanie „Apollończyka”.

I do końca było tak, jak u ludzi. Był sąd. Izba sądowa była natłoczona. Zjawiła się powódka z cielątkiem na sznurku. Przybył pozwany, prowadząc na mocnej linie „Apollona”, smutnego i milczącego. Dokument, przedstawiony przez pozwanego i zaopatrzony w podpisy wszystkich sąsiadów, głosił o tem, że „Apollon” jest bezpłodny i za ojca uznany być nie może.

Cień, rzucony na uczciwe, nieposzlakowane imię nieboszczki „Lubki” wywołał oburzenie. Irina Stiepanowna przysięgała, że to kłamstwo, że z nikim, oprócz „Apollona” nieboszczka nie grzeszyła. I sąsiedzi to potwierdzali.



Sprawa zawikłała się. I ażeby osądzić ją z wielką obiektywnością, sprawę odłożono, celem wezwania eksperta.

A. ZORYCZ

## ZAPRZECZENIE

W słownikach Brockhousa i Granata słowo to nie istnieje zupełnie. Lecz tam przytoczoną jest słowno-logiczna konstrukcja, w której zawartą jest mądrość narodu: „po pierwsze, garnczka nie brałem zupełnie, po drugie, zwróciłem go bezwarunkowo całym, po—trzecie zaś był on rozbity już przed tem, zanim mi go dali”. Według słów naocznych świadków, ta, jak się mówi, koncepcja, powinna była w wymienionych wydawnictwach zastąpić popularne tłumaczenie słowa „zaprzeczenie”.

W Wielkiej zaś Encyklopedji Sowieckiej, według pogłosek, określa się ono, jako „wiadomość, lub pozycja, której w żaden sposób nie należy przyjmować na wiarę, lecz koniecznie należy poddać ścisłej analizie i badaniu krytycznemu; w tym ostatnim wypadku, jak twierdził jeszcze dość znany bajkopisarz Kryłow, z masy łuskwin nawozu uda się wyciągnąć niekiedy miskropijne ziarnko perłowe prawdy”.

Poddając zaprzeczenie analizie i badaniu, możemy ustalić kilka zasadniczych ich rodzajów, zwykle niezmiennych i tylko z nieznacznymi warjantami w wązkich ramach kancelaryjnej fantazji.

Weźmy, jako przykład, taki najprostszy, ogłoszony w prasie fakt, że działacz powiatowy Iwanow, po-pijanemu, usiłując przejechać plant kolejowy przy



stacji i budce, zatrzymany przez opuszczoną na przejeździe rogatkę, zbił i zwymyślał stróża, który odmówił przed przejściem pociągu podniesienia dla niego tej rogatki.

Zaprzeczenia, nieuniknione, nadchodzące w tym wypadku od Iwanowa i jego władz, bywają, jako zasada, czterech rodzajów.

*Rodzaj pierwszy.* Autor, bezwątpienia, był wprowadzony w błąd, i wielka szkoda, że redakcja ogłasza hańbiące miejscowych działaczy wiadomości, nie sprawdzwszy uprzednio oszczerczych informacji. Tow. Iwanow, głęboki proletariusz i członek związku zawodowego od 1917 r., nie mógł przejeżdżać tego wieczoru przez plant koło stacji, gdyż w ciągu dnia był zajęty odczytem o święcie pierwszego maja w klubie robotników zabawy i lasu. Przez cały czas towarzyszyła mu osoba, której słowom niema zasady nie wierzyć, i która zapewnia, że towarzysz Iwanow nie był pijany, lecz wypił wszystkiego cztery butelki piwa, dlatego też nie zbił, a przeciwnie, tylko odsunął okazującego krańcową powolność stróża Kuzmiczewa, ze strony którego i nastąpiły niemożliwe do powtórzenia wymysły. Na te wymysły odpowiedzieć cośkolwiek tow. Iwanow bezwarunkowo nie mógł, znajdując się w nader chorobliwym i nie dającym możliwości do prowadzenia jakichkolwiek rozmów stanie. W ten sposób notatka ta w żadnym razie nie odpowiada rzeczywistości, wskutek czego prośba o zamieszczenie w bieżącym numerze gazetki.

*Rodzaj drugi.* Autor bezwątpienia wprowadzony był w błąd, i wielka szkoda, że... i t. d. Człowiek, pobity przez Iwanowa, nie był wcale stróżem przejazdowym Kuzmiczewym, jak bezpodstawnie powiedziano w notatce, a konduktorem brygady Ijewle-



wym, przypadkowo przechodzącym w owym czasie przez przejazd. Nie wolno pchać się do wody, nie znając brodu, i walić w dzwon, nie zajrzawszy do kalendarza. Czy nie czas już zaprzestać pismakom gazeciarskim dyskredytowania władzy robotniczo-chłopskiej i naszych zdobywczy? Kto jest, nieodpowiedzialny autor, czem zajmowali się rodzice jego przed rewolucją lutową, i ile mu płacą, jeżeli to nie tajemnica, w szanownej gazecie, za każdy brudny wiersz jego?

*Rodzaj trzeci.* Autor bezwątpienia, wprowadzony był w błąd i t. d., i t. d. Gdyż z powiedzianego możnaby, zdawałoby się, wyciągnąć wniosek, że problemat przedostania się przez linje kolejowe, idących i jadących obywateli, daleki jest jeszcze od rozstrzygnięcia w duchu socjalistycznej przebudowy gospodarstwa narodowego państwa, które uwolniło się od wszelkiej niewoli i ucisku caratu. Tymczasem kwestja o przejeździe i przejściu obywateli przez wymienione linje, niejednokrotnie już będąca przedmiotem ścisłego badania i rozważania w projektodawczych i innych organach i instytucjach — zupełnie niedawno, ostatecznie opracowana, obowiązująca i uzgodniona, otrzymała wspaniałą formę w tym przewidującym pięcioletnim planie przemysłowego i administracyjnego rozwoju okręgu, który (plan) niewiadomo dlaczego i uległ tak bezzasadnej i ostrej krytyce ze strony ukrywającego się pod pseudonimem „Gęsie pióro”, autora notatki. Nie chcąc być gołosłownymi, pozwalamy sobie niżej w kilku słowach zaznajomić redakcję i czytelników z tym planem, który, nawiasem mówiąc, zyskał zupełną aprobatę wyższych instancji, z którego (planu) wynika bezwątpienia... i t. d.

*Rodzaj czwarty.* Tu krótko i zupełnie wyczer-



pująco komunikuje się tylko, że rabkor „Gęsie pióro” — łajdak, tacy sami byli matka jego i ojciec, a ciotka uciekła z architektem. Miejscowe urzędy śledcze posiadają o nim sekretne materiały. Według pogłosek sympatyzował z partją eserowską w 1904 r. i dotychczas jeszcze piecze kulicze na Wielkanoc. Redakcji należałoby staranniej dobierać korespondentów w powiatach, rozwiązując tą kwestję w porozumieniu z organami miejscowymi”

Poza zależnością od rodzaju zaprzeczenia, można je albo rzucić do kosza, albo, co jest bardziej pedagogiczne, zawiadomić zaprzeczającego, że będzie ono zamieszczone z komentarzami redakcji. W tym wypadku od zaprzeczającego przybędzie bez zwłoki zadyszany goniec z prośbą o zwrot papierka celem dokonania przeróbek. Więcej do redakcji, zwykle ono już nie wraca.

„Smiechacz”.

## PRZYRODA I LUDZIE

Niezbyt jeszcze dawno w kołach gospodarczych narobił wielkiej wrzawy projekt pewnej organizacji lokalnej o terminowem obliczeniu wszystkich pływających w rzekach i jeziorach SSSR rybek, rybeczek i ryb. W projekcie było powiedziane, że jedynie na podstawie ścisłych danych statystycznych o zamieszkujących wody sowieckie piskorzach, kopczuszkach i puzankach możebny jest pięcioletni perspektywiczny plan socjalistycznego gospodarstwa rybnego w państwie. Cyfry i tylko cyfry, drodzy towarzysze! Socjalizm— to rachunek. Czas, wreszcie, rzucić dowolność i każdemu leszczowi lub uklejowi również określić ich miejsce w perspektywie odradzającego



się gospodarstwa S S S R. Ile ich, leszczy, sterletów, tuńczyków, śledzi, sińców, tarani i szemai? Dlaczego pływają one bez kontroli w planowych wodach republiki?... Dlaczego mnożą się niezorganizowanie, ukrywając przed rachunkiem swój przyrost naturalny?... Dlaczego nie ulegają ograniczeniom ich wędrówki wiosenne na tereny wrogie, kapitalistyczne? Gdzie są granice tego bezładu? Gdzie są granice tej gospodarki nienormalnej?

Projekt został odrzucony głównie z powodu, aczkolwiek drobnego, lecz przykrego braku, że autorzy nie wskazali sposobu, w jaki można by było obrachować ryby w morzach i rzekach republiki. O wszystkim pamiętali i powiedzieli — i o przyszłym towarzystwie „Dobroryb”, i o kongresach w Dieppe, i o subsydjach urzędowych dla rybołówstwa w Stanach Zjednoczonych w 1891 r., nic nie przeoczyli, a o tem zapomnieli. Ma się rozumieć, wszystkiego nie spamiętasz, co wy chcecie od człowieka pracującego? Przyczepki, drobiazgi. Według pogłosek, podkreśloną była również i ta okoliczność, że w opracowaniach ankietowych okazało się opuszczonym pytanie, czem się zajmował leszcz przed rewolucją lutową. Zaliczono to jako błąd ideologiczny.

Jednocześnie z projektem obliczania puzanków w wodach republiki, dowiedzieliśmy się niedawno, że specy (specjaliści) z ukraińskiego Narkomziemmu (ludowy komisariat rolnictwa) prowadzą ścisły i szczegółowy rachunek wszystkich złapanych na terytorjum U S S R motyli i ciem, a Narkomwnutdieł (komisarjat ludowy spraw wewnętrznych) spieszenie rejestruje, zmobilizowawszy dla tych celów statystycznych cały niższy aparat urzędniczy, każdy fakt zabicia włóczących się psów „jak w polu,



tak również i w zaludnionych miejscowościach lub w okolicach tychże". Pytaniem tem, z jakiej właśnie strony liczba złapanych motylków lub psów, zabitych w polu, ważną jest dla potomności lub z punktu widzenia budowy gospodarki socjalistycznej w naszym państwie — zajęły się obecnie, jak o tem komunikują w prasie, ukraińskie organy kontrolujące. Rejestracja psów została wstrzymana.

Lecz nie drzemie, jak mówią w scenarjuszach kinematograficznych, zarządzający okręgowym urzędem ziemskim w Złotouście. Ponure zwątpienie zmąciło spokój i pożera uczciwe serce działacza gospodarczego; mój Boże, mój Boże, w innych miejscowościach motylki nawet, i te wzięli pod uwagę, u mnie zaś wciąż ta sama anarchja przedwojenna na polach i w lasach. Pójdiesz w prawo — kaczkę w błotach kwacza, pójdiesz w lewo — wiewiórka skacze, pójdiesz prosto — niedźwiedź przykucnął na polanie. Chaos jakiś pierwotny! Ile ich tu jest, futrem okrytych, pierzastych, drapieżnych i trawożernych?... Bezdomne, niepoliczone, poza planem, w nieporządku włóczą się one po okręgu, bezsensowne, jak człowiek, któremu nie zatroszczono się, ażeby dać w urzędzie ankietę Copowie Narkomziem?...

I Złotoust pewnego pięknego dnia wstrząśnięty został rozporządzeniem o ogólnej rejestracji zajęcy w okręgu. Od zajęcy rozpoczęli, widocznie, jako od chuliganów, pożerających marchew i kapustę w ogrodach średniaków, i najbardziej dla tego w znaczeniu ideologicznem szkodliwych. Chcąc walczyć z wrogiem, należy, jak wiadomo, poznać dokładnie liczbę jego i uzbrojenie. Rozesłane do wszystkich sowietów, rejonowych i wiejskich, okręgu, z powodu rejestracji zajęcy pilne okólniki, zaczynały się od słów:



„Ile zajęcy i jakiego rodzaju znajduje się w tym roku na terytorjum powierzonej wam miejscowości?”

Niektórzy z przewodniczących załatwili tę sprawę biurokratycznie, odpisując: a tak, sztuk pięćset, lub, może, półtora tysiąca; zajęc u nas nie-uświadomiony, nie poddaje się, przebywa w trzech sosnach, zupełny antysemita pod względem rachunku. Przewodniczący zaś najbardziej obowiązkowi, zabrawszy rzeczoznawców i psy, uczciwie wyszli gończyć i rachować zajęcia w powierzonej im miejscowości. Przy każdym zajęcu stawiali krzyżyk w książce rządowej. Lecz sprawa ta okazała się wielce skomplikowaną i brzemienną w wiele trudności: wszak pieczęci lub numeru na łbie mu nie postawisz — a jak odróżnić zajęcia zarejestrowanego od zajęcia jeszcze nie wniesionego do planowego rachunku? Wypędzili, przypuśćmy, jednego, zarejestrowali, zaliczyli i postawili krzyżyk, — a po dziesięciu minutach z koniczyny, gnany przez psy, stuliwszy uszy, wyskakuje i ginie na skraju lasu inny. Za pozwoleniem, czy rzeczywiście jest to inny? Być może to ten sam, zrobiwszy chytrą pętlicę, mknie w gęstwinę do strwożonej hałasem i szczekaniem zajęczycy?... Rzeczoznawcy twierdzą — ten sam, ma łysinę na łbie i wyliniały ogon. Przewodniczący nie zgadza się: tamten młodziak był i szelmowaty, a ten bardzo poważnie idzie, jak obarczony rodziną. Na wszelki wypadek stawiają krzyżyk, lecz oddzielnie, w rubryce wątpliwych i djabli go wiedzą, wszystkie zajęcia podobne są zdaleka do siebie i wszystkie mają obrzydliwy zwyczaj kluczenia pętłami i zygzakami, zamiast tego, ażeby chodzić po ludzku. Słowem, u uczciwych przewodniczących wyszło tak, że postawiwszy w książce urzędowej



jeden krzyż pewny, wszystkie pozostałe krzyże, szarpani zwątpieniami, zaopatrzyli w znaki dręczącego ich zapytania. W wyniku — na powierzonych im terytorjach okazało się... po jednym bezspornym zającu.

Chytra to rzecz — statystyka i planowy rachunek! I jak niedoskonałym jest człowiek w poznaniu i poddaniu swej władzy otaczającej go przyrody.

„Ogoniok”.

---

B. ARCHANGIELSKIJ

## ROZMOWA Z PUSZKINEM

Aleksandrze  
Siergiejewiczu  
negrze  
moskiewski!

Wiele  
zim  
wiele  
lat!  
Nie poznajecie!  
przecież to  
ja —  
Majakowski —

In-  
dy-  
wi-  
du-  
al-  
ny  
poeta.



Pozwólcie  
po ramieniu  
poklepać.

Wy i ja,  
my obydwaj,  
znaczy się,  
genjusze.

Pozostali tak —  
rymowany  
kopeć.

Poetyczne  
nieporozumienie.

Wyście — dziwak:  
natworzyliście  
jamby

Tylko  
oto —  
drukowaliście  
bez korzyści.

Gdybyście żyli  
pokazałbym  
ja wam

Jak  
z wiersza  
zrobić  
dziesięć  
wierszy.

Naprzykład:  
— Mój wujo  
nader  
uczciwych  
zasad...



Jak to?...  
Kiedy  
nie na żarty  
zaniemógł,  
Szanować,  
ścierwo,  
siebie  
zmusił.  
Jakby  
lepiej  
wymyśleć  
nie mógł.  
Patrz  
i wierszy  
zebrał się  
nadmiar.  
Tylko oto  
bieda  
podatki  
biją  
dubinką.  
Nienawidzę  
finispektorzą.  
Uwielbiam  
wewnętrzną  
pożyczkę!

---



## ŁANCUCH MIŁOŚCI I ZBRODNI

Do Sądu ludowego 13 oddziału  
Grygorja Piotrowicza Rytnikowa.  
Zawiadomienie.

Postanowiwszy rozejść się z żyjącą ze mną Eufrosinją Karpowną Fokiną, z przyczyny jako ja ją przestałem kochać w ogólności i w całości, a ja, przyszedłszy z fabryki, z zimną krwią wyniosłem ze swego pokoju wszystkie jej rzeczy, umieszczając je obok w sąsiedniej izbie, zajmowanej przez nieżonatego brata mojej towarzyszki życia, Kolki Fokina.

I naraz, w jakieś 20 minut po tem zajściu, leżąc sobie na łóżku — usłyszałem kroki Fokinej i jej brata Kolki, a potem niecenzuralne wymysły od matki z ich właśnie strony. Wtedy, obawiając się chamskich ekscesów z ich strony, zamknąłem drzwi na haczyk z wewnątrz i z zimną krwią zamknąłem oczy. Jednakże wyżej wspomniane środki moje nie powstrzymały ich niezorganizowanych wystąpień. I zaczęli oni walić kułakami do moich drzwi, motywując mnie przed wszystkimi mieszkańcami i podrywając zaufanie do mnie mas, nazywając, na przykład, mnie rzezimieszkiem, swołoczą i, między innymi, szubrawcem.

Lecz ja z zimną krwią rzekłem:

— Obywatelko Fokina! Nie pyskujcie napróżno i nie wyłamujcie drzwi skarbowych. Powrotu do przeszłości niema w żadnym razie, jako ja już z wami rozszedłem się.

Wtedy jej brat, Kolka Fokin (sądzony był za skandal z narzeczoną), szarpnął drzwi z haczyka z całą swą siłą. I potem i Frośka i Kolka, wpadłszy do mego pokoju, poczęli wymyślać mi, jakoby



za zdradę, podejrzewając mnie o stosunki z ladacznicami. A on, brat Kolka Fokin machał przed moim nosem kułakiem, krzycząc:

— Ja ci pokażę, swołocz, jak siostrę krzywdzić i znieważać. Taszcz z powrotem do siebie jej rzeczy.

A kiedy prosiłem zebrany naród, ażeby wytłomaczył Kolce, że jako ja rozszedłszy się z Froską— to mam zupełne prawo moje uwolnić moje mieszkanie od rzeczy, należących do towarzyszki życia w ogólności i całości — wyżej wspomniana Frośka poczęła taszczyć do siebie nietylko meble i moją odzież, pozostawiając mi tylko starą marynarkę i załatane spodnie.

A podczas jej złodziejstwa, Kolka — chuligan stał przedemną i wymachując kułakami, zabraniał mi działać i nie puszczał mnie, ażebym zawołał uprawdoma (zarządzającego domem).

Wszystkie moje próby zwrócenia się do współdziałania narodu, patrzącego na chamskie wystąpienia mojej towarzyszki życia — nie wywołały żadnego współczucia, a nawet jeden tylko głupi śmiech. A między innymi, obywatelka Fokina określenie i faktycznie publicznie napiętnowała mnie pasorzytem i odchodząc do siebie postawiła mi ultimater:

— Albo — mówi żyj ze mną, albo pozostawaj bez rzeczy.

A wobec tego proszę sąd ludowy zasądzić od niej: 1) za znieważenie (niecenzuralne od matki i pasorzyt), 2) zagrożenie życiu (Kolka powiedział, że odciapie mi głowę), 3) za przywłaszczenie mojego mienia (meble, prymus, nowe spodnie, french i naczynia). Kolce zaś Fokinowi wytłomaczyć, że raz ja przestałem kochać jego siostrę,—to mogę się rozejść.

*Grygorij Rytnikow.*



Do sądu ludowego 13 oddziału  
Grygorja Piotrowicza Rytnikowa.  
Zawiadomienie.

Proszę sąd o przyspieszenie mej sprawy, ponieważ Frośka Fokina znów żyje ze mną, korzystając z siły swego brata, Kolki, który żąda, ażebym ja rozwiódł się z jego siostrą według prawa, a nie znieważałbym jej cześci.

A jakżeż to ja mam się rozwodzić z Froską, jeżeli ona jest tylko towarzyszką życia bezprawną? Tak wychodzi, że nigdy nie można ani z jedną towarzyszką życia rozejść się?... Spra—wy!...

Do sądu ludowego 13 oddziału  
Grygorja Rytnikowa.

Proszę moją sprawę z Eufrosinją Fokiną umorzyć — gdyż ja z nią znów się zeszedłem i znów ją pokochawszy w ogólności i całości bez żadnego nacisku Kolki — jej brata...

I sprawę umorzono.

S. T.

„Krasnaja Gazieta”.

---

OSTATNIE SŁOWO.

Ja się krytyki nie obawiam! Przeciwnie, nawet z uznaniem witam zdrową, rozumną krytykę. Lecz w słowach poprzedniego mówcy przebłyskiwały



pod moim adresem takie nutki, takie wyrażenia, że najwłaściwszem dla nich miejscem byłaby pierwsza lepsza białogwardyjska gazeta. Poprzedni mówca oskarżał mnie o biurokracyzm, o to, że jestem ordynarny z podwładnymi, że mam faworytów, i że zupełnie nie liczę się z organami samorządowymi. I miał jeszcze zuchwalstwo wtrącać się w moje sprawy osobiste, opowiadając zabrani ogólnemu o tem, że bez wiedzy komitetu miejscowego przyjąłem do nas do biura w charakterze sekretarki osobistej tow. Pomadkinę. Przypuśćmy, że to prawda! Przypuśćmy, że poprzedni mówca ma słuszość! Lecz jakżeż w takim wypadku powinien był postąpić na jego miejscu uświadomiony obywatel Republiki Sowieckiej?... Powinien był przyjść do mnie do gabinetu i po koleżeńsku wskazać mi błędy moje, tak, oto jest, i tak! Oto jak powinien był postąpić choć cokolwiek uświadomiony, uczciwy obywatel!

Lecz poprzedni mówca wszystkie te śmiecie wywlókł na ogólnem zebraniu, w jednym celu, ażeby mnie dyskredytować w oczach mas pracujących, a jednocześnie ze mną i cały nasz rząd. Tak! tak! tak! Nie obawiam się krytyki, a nawet witam wszelką zdrową, rozumną, surową krytykę, lecz z zawracaniem głowy, z kontrrewolucją byłem i będę bezlitosnym. Niedopuszczalne, ażeby w 10 roku rewolucji październikowej rozlegały się takie głosy, jak głos poprzedniego mówcy. Takie głosy — to nic innego, jak podkopywanie się pod władzę sowiecką!... Takie głosy idą na korzyść mieńszewików i Chamberlinów!... I ja wzywam was, towarzysze, do zjednoczenia się w walce z takimi typami, jak poprzedni mówca!

„Krokodil”.



## REKORD ŚWIATOWY

Gdyby mieszkańcy Miezierska posiadali rowery, byłiby wśród nich najlepsi zawodnicy rowerowi. Gdyby posiadali łyżwy, wyrosłoby wśród nich najlepsi łyżwiarze, i gdyby piłki foot-ballowe, to właśnie wśród nich byłiby najlepsi w Europie bramkarze i beki.

Wszystko to bardzo możebne, ponieważ zamiłowanie sportu było wśród mieszkańców Miezierska bardzo rozwinięte. Lecz, ku wielkiemu żalowi, nie posiadali ani piłek, ani rakiet, ani nart, ani rowerów. Były — pragnienie, wolny czas, zdrowe pięści i dwa plakaty w klubie „Majak”; „Przez fizkulturę do socjalizmu”, „Każdy pracujący winien być sportsmenem”.

Dlatego niema w tem nic dziwnego, że sport wśród nich posiadał charakter niezdrowy. Prawie każdej niedzieli, nad rzeką, za rzeźnią, kwitła „ścianka”. Lecz wobec mnóstwa pokaleczeń „ściankę” zabroniono. Przez krótki czas oddawano się z zapalem zabijaniu psów. Do zamiłowania do tego sportu zachęcało rozporządzenie, rozklejone po mieście: „Wobec epidemji wścieklizny wśród psów, pozwala się obywatelom zabijać je, gdzie się tylko da”.

W przeciągu jakichciś dwóch tygodni wszystkie psy zostały wybite i wtedy sportsmeni przeszli do „skoków”. Kto zeskoczy z najwyższego miejsca. Najwyższe miejsce — wieża straży ogniowej. Skakali przez trzy niedziele. Wyniki były nie wesołe: 25 złamanych nóg, 17 złamanych rąk. Lecz miłość do sportu mimo to nie wygasła i szczególnie gorąco



wybuchnęła w lipcu roku bieżącego pod kierownictwem zawklubu „Majak”, towarzysza Czystiakowa, który dopiero co przyjechał z Krymu, gdzie spędzał swój urlop dwutygodniowy.

Na jego wniosek w najbliższą zaraz niedzielę odbyły się zawody, które polegały na tem — kto dłużej wyleży pod palącymi promieniami słońca. Pół setki obywateli leżało rzędem na brzegu rzeki plecami do góry. Obok zaś stał stolik, za którym z zegarkiem w ręku siedzieli członkowie jury z Czystiakowym na czele. Po trzech godzinach sportsmeni kolejno zrywali się, gwałtownie drapali plecy i jak nieprzytomni miotali się po brzegu. Skóra na ich plecach była złowieszczo-purpurowa i okryta pęcherzami.

Następnej niedzieli ani jeden z nich więcej w tem współzawodnictwie nie brał udziału. I wtedy Czystiakow, uzgodniwszy z kimś tą kwestję, wywiesił ogłoszenie: „Kto dłużej wytrzyma w wodzie — ten otrzyma srebrny zegarek z łańcuszkiem”. I dalej w tem ogłoszeniu mówiono o tem, że „towarzystwo sportowe Miezińska urządza zawody w nurkowaniu, które będą odbywać się o godz. 12 w południe, w razie sprzyjającej pogody, w niedzielę”. Na ten dzień mieszkańcy miasta szykowali się zawczasu. I o oznaczonej godzinie zebrało się tyle ludzi, jak na jarmarku. Handlarki żwawo sprzedawały zimną wodę, kwas i selcerską.

Punktualnie o godz. 12, kiedy zapocone trąby orkiestry straży ochotniczej zagrzmiały, Czystiakow wszedł na stół i począł mówić:

— Towarzysze — rzekł: ja dobrze nie pamiętam, lecz w przybliżeniu powiedzieć mogę, że najdłuższy czas pod wodą przebywał pewien francuz, a mianowicie 15 minut i 10 sekund. Dłużej nikt



pod wodą nie był. Próbowali amerykańanie, próbowali Anglicy i nawet japończycy, ale nikomu z nich się nie udało. U nas zaś, wobec tego, że sport przy dawnym systemie był w podziemiach i był przez caryzm prześladowany, dopiero teraz czynione są próby... I jedna z tych prób odbędzie się teraz w naszym mieście. I jeżeli którykolwiek z naszych obywateli wytrzyma pod wodą jakieś 30—40 minut, ten jest bohaterem. I zaraz o nim trąbić zaczną po gazetach, przez radio, i nie tylko u nas, ale i zagranicą... Nasza nagroda ogranicza się tylko na tym zegarku — Czystiakow pokazał tłumowi srebrny zegarek.

Zapaśnicy w błękitnych majteczkach kąpielowych, stojący tuż przy stoliku, jawnie denerwowali się, Czystiakow ciągnął dalej:

— Zegarek z łańcuszkiem 84 próby, wartości 22 rubli. A więc, kto dłużej wytrzyma pod wodą, ten go otrzyma. Zaraz zaczynamy.

Orkiestra zagrała marsza i ucichła. Zamiast niej alarmująco zawarczał bęben. Jeden z nurków podszedł do poręczy mostu i przy oklaskach tłumu rzucił się do wody. Mniej niż po minucie wyskoczył z powrotem. Znow walo w bęben, znow oklaskiwano i rzucił się do wody drugi nurek, trzeci, czwarty. Lecz nikt dłużej niż jedną minutę nie pozostawał pod wodą. I w końcu, kolej przyszła na służącego jadłodajni narpita, Ignacego Makaronnikowa. Przy krzykach tłumu:

— Ignaszka, nie zrób kawału! — śmiało podszedł do poręczy i chciał już skoczyć, gdy niespodziewanie został schwytyany przez rodzoną żonę za majteczki i tłum usłyszał jej pisk:

— Nie puszczę, nie puszczę!.. Pijanica!... bałwan!...



Nieuświadomioną kobietę usunięto. Bęben alarmująco zabębnił i przy grzmocie oklasków Ignaszka runął głową naprzód. Upłynęła minuta, dwie, trzy, dziesięć, a Ignaszka nie pokazywał się. Uradowany powodzeniem Czystiakow wygłosił znów mowę:

— Towarzysze, jeszcze jakieś tam 10 minut i rekord światowy będzie przy nas. Hura!...

Krzyczeli „hura”. Żonie Makaronnikowa składano powinszowania. Patrzyła ona już bardziej pobłażliwie w głąb rzeki i myślała, co przedewszystkiem ma kupić za otrzymane za zegarek pieniądze. Upłynęło jeszcze dziesięć minut. Zagrała orkiestra. Tłum denerwował się. Znów krzyczeli „hura”. Czystiakow miotał się.—Już 25 minut i 15 sekund—niebывały rekord.

A Ignac wciąż nie ukazywał się i nie ukazywał się.

— Zdobyliśmy rekord światowy! — krzyczał po godzinie zachrypli Czystiakow.

Lecz lud już nie wierzył. Lud wątpił. A ktoś nawet zapewniał, że w pierwszej minucie widział, jak Ignaszka wypłynął i znów poszedł na dno, jak kamień.

Zmierzchało się. Lud się rozchodził. Odchodząc ostatni Czystiakow wzdychał:

— Eh, żeby wypłynął, możnaby na całą Europę gwałtu narobić...

Zapłakana wdowa otrzymała zegarek.



TOWARZYSZE Z APARACIKAMI.

I.

Wieczorem kiedy, we wsi dojono krowy, przewodniczący sowietu wiejskiego, Trofim Wasiljewicz, urządził naradę z sekretarzem.

— Wobec tego, że „bindzet“ — mówił przewodniczący: zupełnie wyraźnie jest u nas niewystarczający. Niewystarczający jednym słowem „bindzet“ — co tu dużo gadać. Prawidłowo mówię?...

— Prawidłowo — potwierdził sekretarz: oto właśnie, prawidłowo na całe dwieście procentów, i koniec.

Przewodniczący zmarszczył czoło, i ciągnął dalej:

— Kooperatywa słabo funkcjonuje, bardzo słabo, tak że ani jednego punktu szczerości ja w niej nie widzę. Naród się skarży — i sprawiedliwie, gdyż w innych, powiedzmy, można i odekoloniu żądać i „szydekreń“, i wszelkich inteligentnych naczyń, naprzykład, drogich zagranicznych — wiedeńskich... No, a u nas co? U nas — olej słonecznikowy, nafta, no — tam pieprz, bielidło. A czyż to interes — naród olejem słonecznikowym karmić?...

— Prawidłowo — nie interes — podchwycił sekretarz.

— A wszystko dlaczego?... Dlatego, że myśmy biedni, pieniędzy, znaczy się, niema, oto właśnie — „bindzet“ słaby i niewystarczający. I trzeba przedsięwziąć jakieś kroki — bez kroków nie warto. Prawidłowo mówię?...

— Prawidłowo.



Do jasnego świtu myśleli przewodniczący i sekretarz nad przekłętą kwestją „bindżetową“ i, kiedy po raz trzeci zapiały koguty, wymyślili.

## II.

Rankiem w sowiecie wiejskim naród huczał. Prowadził zebranie Trofim Wasiljewicz. W prezydjum z powagą zasiadali babka Jewdocha, podejrzana co do samogonu, i Czałyj Anton, niedawno wypuszczony z dopru (więzienia). Nad stołem prezydjum, przeciągnięta na sznurku od akacji do akacji, kołysała się wstęga papierowa, na której ołówkiem atramentowym było wypisane wielkimi literami:

Sprzedają się z licytacji aparaty do samogonu. W liczbie ogólnej pięć sztuk. Samej najlepszej konstrukcji i wygodnego urządzenia. Ostatnie słowo w dziedzinie techniki. Niedrogo.

Trofim Wasiljewicz palnął z początku mowę: — Towarzysze z aparacikami. Ażeby nie zaczynać z daleka — ja o sytuacji międzynarodowej, jak zawsze, nic dziś mówić nie będę, choć szkoda, można by dużo wielce interesującego opowiedzieć. Lecz, drodzy towarzysze, o wewnętrznym stanie naszym chcę poruszyć, jako kierujący towarzysz i tak dalej, i temu podobne.

— Prosimy! Prosimy!... — zaryczały gardła pod akacjami: bez zwlekania. Wprost od licytacji rozpocząć...

Przewodniczący zadzwonił i ciągnął dalej:



— Oto, towarzysze, u nas krzyczą o kopiejce ludowej, która darmo przepada, o przewlekaniu, o niegospodarności i tak dalej, i temu podobne. W gazetach — wprost gromią naszego brata i po główce nie głaszczą. Gazety wprost wskazują, nie krępując się — „niedołężstwo“, „biurokratyzm“, „nieprzystosowanie“, wybaczcie te wyrażenia, robotnicy. Gazety, towarzysze, wprost wysilają się i niema, mówię, u nas dobrego aparatu — zwracajcie się, mówią, twarzą do aparatu...

— Prawidłowo — rozległy się znów głosy pod akacjami — prosimy zwrócić się twarzą do aparatów. Czego tak długo zwlekać.

— Tak ja i mówię — przerwał Trofim Wasiljewicz — ja przecież mówię, że zwrócić się należy. A tymczasem — zwróciwszy się twarzą do aparatu — widzę, że u nas, w sowiecie wiejskim, od jakich to czasów nie jeden, a całe pięć sztuk bez użytku się przewracają. Przewracają się jednym słowem, aparaty samej najlepszej konstrukcji i wygodnego urządzenia — i nic. Niema tego, ktoby o tem przypomniał, ażeby inicjatywę okazał, w sensie obrotu zupełnie martwym kapitałem i nie pozwolenia na rdzawienie drogich maszyn, które są ostatniem słowem w dziedzinie techniki.

— A to co? — z siłą rzekł Trofim Wasiljewicz: jakież to jest — mówię — fakt, jak nie brak gospodarności, biurokratyzm i zupełny brak uwagi na aparaty?

— Prawidłowo. Nieprzyzwotość. Nie pozwolić — dobiegło z poza pobliskich drzew.

Przewodniczący w tym czasie jakby zrozumiał, że sprawa nie jest jak się należy. Zrozumiał dlatego, że oczki u babki Jewdochy coś bardzo już biegać poczęły. Spróbował namacać pod sobą twardey grunt, lecz było już późno.



— A również my nie Ameryka, ażeby aparaty przewalały się, rdzewiały i psuły się. I należy, towarzysze, przedsięwziąć kroki, gdyż bez kroków nic nie jest warte... Prawdłowo mówię?...

— Prawdłowo. Prawdłowo, djable pieski! — nie wytrzymał Stiepan Koczerga: No paszoł — do-  
syć!... Paszoł!... Zaczynajcie licytację, drogi kie-  
rujący towarzyszu!...

— Racja!... Zaczynajcie licytację!... Wszyst-  
ko rozumiemy!... Sprzeciwów niema!...

— A może kto wstrzymał się? — słabo przer-  
wał Trofim Wasiljewicz.

— Niema takich. Głupców tymczasem niema.  
Wniosek przyjęty został jednogłównie. Licyta-  
cja odbyła się przy rzadkiej aktywności. Po godzi-  
nie wszystkie aparaty zostały rozprzedane i wynie-  
sione ze strychu sowietu wiejskiego przy hucznych  
oklaskach wdzięcznej audytorji.





# BIBLIOTEKA HUMORU

ozpisywać się na temat humoru, zachwalać dobroczynne skutki tej przedziwnej właściwości ducha ludzkiego, zachęcać bliźnich do czerpania pogody ze skarbnicy śmiechu, słowem reklamować to, co reklamy nie potrzebuje, gdyż jest przyrodzonym pożądanym każdego serca ludzkiego? Dumni z godności swego człowieczeństwa, zastanówmy się, że tylko mową i śmiechem górujemy nad zwierzętami. Ten dany nam od Stwórcy przywilej ludzki jest skarbem naszym najcenniejszym, jest genjuszu człowieczego żywym i odwiecznym dokumentem.

## BIBLIOTEKA HUMORU

będzie niejako archiwum, gromadzącem najcenniejsze dzieła humoru wszystkich czasów i narodów, będzie barwną ciekawą encyklopedją utworów, których źródłem i ujściem był śmiech. Wszystko co powstało w literaturze z ducha dowcipu, satyry, groteski i ironji, komizmu, żartu, parodji, wszystko, co w dziejach piśmiennictwa powstało z owego specyficznego na świat i ludzi wejrzenia, któremu humor na mię, wszystko to znajdą czytelnicy „Biblioteki Humoru“ w skondensowanych wyciągach, antologjach i opracowaniach. Każdy tomik „Biblioteki Humoru“ poświęcony będzie bądź oddzielnemu pisarzowi (najznakomitsze wyjątki z dzieł humorystów polskich i obcych), bądź epoce lub zjawisku.

Tomiki „Biblioteki Humoru“ ukazywać się będą co 2 tygodnie. Każda książeczka objętości 5—6 arkuszy druku, w barwnej okładce, stanowić będzie całość. — edakcję wydawnictwa objął Juljan Tuwim. Cena oddzielnego tomiku zł. 1.— w prenumeracie kwartalnej za 6 tomików zł. 5.—



# BIBLIOTEKA HUMORU

POD REDAKCJĄ JULJANA TUWIMA

1. **BON-MOT**  
DOWCIP FRANCUSKI W PANORAMIE WIEKÓW
2. M. GOGOL  
**ROZMOWA O KLÓTNi**  
IWANA IWANOWICZA Z IWANEM NIKIFOROWICZEM
3. **HUMOR AMERYKAŃSKI**
4. TEFFI  
**DYM BEZ OGNIA**
5. **HUMOR STAREJ ANGLJI**
6. **ANTOLOGJA POLSKIEJ PARODJI  
LITERACKIEJ**
7. O. HENRY  
**B L U F F**
8. **LITERATURA W NEGLIŻU**
9. **A PROPOS...**  
200 PEREŁ HUMORU
10. **HUMOR SOWIECKI**

---

Cena tomu zł. 1.—, w opr. kart. 1.50



# BIBLIOTEKA BELETRYSTYCZNA TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

---

Od stycznia 1927 r. zaczęły się ukazywać w odstępach dwutygodniowych tomiki Biblioteki Beletrystycznej. Ocenę tego wydawnictwa podajemy poniżej w dotychczasowych głosach prasy:

„Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie (J. Mortkowicz) podjęło nowe wydawnictwo Biblioteki Beletrystycznej. Jestto wydawnictwo periodyczne, ukazujące się 2 razy na miesiąc i można je prenumerować. Z tomików, które się dotychczas ukazały, wysnuć można następujące wnioski: wydawnictwo to góruje nad dotychczas istniejącymi podobnymi przedewszystkiem dbałością o formę zewnętrzną, nie poluje na popyt sensacyjnymi tytułami i bajecznie kolorowymi okładkami, lecz raczej doborem pisarzy...”

*(Dzień Polski.)*

„Na najwyższą pochwałę zasługuje szlachetna akcja wydawnicza J. Mortkowicza, która wydaje książki bardzo tanie — a zarazem bardzo estetycznie wyglądające... Tomiki są bardzo tanie a bardzo pięknie i starannie wydane. Sanacja stosunków księgarsko-wydawniczych w Polsce iść powinna przedewszystkiem w tym kierunku”.

*(Gazeta Literacka.)*

„Chciałbym podkreślić niepoślednią zasługę Towarzystwa Wydawniczego (J. Mortkowicza), które doborem autorów i starannością w wydaniu stawia swą Bibliotekę Beletrystyczną na poziomie, odpowiadającym zupełnie podobnym placówkom wydawniczym zagranicznym. Biblioteka może liczyć na powodzenie również ze względu na niską cenę książki”.

*(Prawda.)*



# BIBLIOTEKA BELETRYSTYCZNA

- M. Kuncewiczowa.* PRZYMIERZE Z DZIECKIEM.  
*E. Szelburg.* DOKĄD.  
*Z. Nałkowska.* LODOWE POLA.  
*T. Nalepiński.* KAZIA.  
*J. Korczak.* DZIECKO SALONU.  
*J. Wołoszynowski.* O TWARDOWSKIM, synu ziemianki, obywatelu piekie dziś księżycowym lokatorze. 2 tomy.  
*K. Dickens.* DAVID COPPERFIELD. 6 tomów  
*M. Gogol.* MARTWE DUSZE. Przekład Wł. Broniewskiego. 2 tomy.  
*J. P. Jacobsen.* NIELS LYHNE. Przekład Marji Dąbrowskiej. 2 tomy.  
*Donn Byrne.* MESSER MARCO POLO. Przekład St. Kuszelewskiej.  
*A. Strug.* MOGIŁA NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA

Cena pojed. tomu Zł. 2.-

DOBRA  
ZAJMUJĄCA  
ESTETYCZNA  
TANIA KSIĄŻKA

Antykw. - bu  
Wrocław M. H.  
2.7.73  
- 3026



5 17



AMERICAN  
BELETRYSTYKA

- 1. ... PRZEMYSŁ Z DZIECKIEM
- 2. ... DOKAD
- 3. ... WOBOWIŁA
- 4. ...
- 5. ...
- 6. ...
- 7. ...
- 8. ...
- 9. ...
- 10. ...
- 11. ...
- 12. ...
- 13. ...
- 14. ...
- 15. ...
- 16. ...
- 17. ...
- 18. ...
- 19. ...
- 20. ...

DOBRA  
ZAJMUJĄCA  
ESTETYCZNA  
TANIA KSIĄZKA









824530

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017996448